Cena 10 zł
(wraz z cegiełką na Dom Słowa Polskiego).

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II | Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 20 października 1946 r. | Nr 36 (47)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
0201 5

Roman Pollak

Przykazania z ziemi osobliwej

Dedykujemy uwagi poniższe — a sądzimy, że nie czynimy tego wbrew intencjom autora — tym wszystkim, którzy dzisiaj Śląsk sądzą, karcą albo nawet i chwalą ale za rzeczy nie najważniejsze, od wysokich urzędników ministerialnych począwszy a na szefach personalnych niektórych przesiębiorstw na terenie Śląska skończywszy.

Osobliwą, odmienną od innych części Polski krainą — jest Śląsk. Nie przez to, że na niewielkiej stosunkowo przestrzeni przejawia się tutaj tak wielka rozmaitość krajobrazu, taka skala kultury gospodarczej od pasterskiej w górach poprzez rolniczą aż do najnowocześniejszych form kultury wielkiego przemysłu, tyle odmian skupisk ludzkich od rozrzuconych osiedli największej w Polsce wsi, jaką jest Wisła, aż do najwyżej zorganizowanych ustrojów miejskich, uzdrowisk i kąpielisk. Osobliwą, wyjątkową ziemią jest Śląsk przez niektóre, bardzo charakterystyczne, bardzo wybitne przejawy swego życia zbiorowego., swojej społecznej struktury.

Przykładając zwyczajną miarę do zjawisk socjalnych w społeczeństwach europejskich nie zdołamy sobie wyjaśnić takiego przejawu jak utrzymanie się polskości na Śląsku mimo 600-letniego oderwania się od organizmu Polski, mimo szybkiego wynarodowienia się warstw t. zw. wyższych i wbrew wzmagającym się gwałtownie metodom germanizacyjnym. To wielowiekowe przetrwanie polskości w samym środku Europy, po wielu dziesiątkach lat wymazania Polski spośród państw żyjących — wydawało się wielu ludziom zachodu zjawiskiem tak zdumiewającym, nieprawdopodobnym, wprost nielogicznym, że jeden z nich poświęcił mu głębokie, wnikliwe, wieloletnie studia socjologiczne. Był to Anglik, William Rose, który w czasie pierwszej wojny światowej znalazł się na Śląsku, gdzie został internowany. Poznał wtedy dobrze nasz język, przewędrował znaczny kawał Śląska, poznał bliżej wielu jego polskich mieszkańców, a potem wydał w języku angielskim okazały tom, oparty na najlepszych źródłach p. t. „The Tragedy of Upper Silesia", gdzie przedstawił walkę o polskość Śląska począwszy od Fryderyka II. Niestety ci, co dziś piszą u nas na tenże temat, z reguły omijają to cenne źródło. Samym Anglikom też by się przydało jakieś rzetelne, drugie, rozszerzone i uzupełnione wydanie tej pracy.

Siła polskości Śląska, jej źródło żywe i wciąż bijące tkwi w jej charakterze nawskroś ludowym, w jej mocnym i szerokim oparciu o zbiorowość, o jednoplemienną gromadę, o zdrową, uczciwą publiczną opinię i to nie od wczoraj czy przedwczoraj, ale od szeregu pokoleń. Siła polskości Śląska tkwi także w niemałej mierze w oparciu o żywiołowy związek z tą jedyną, serdeczną ziemią. Sztucznym wytworem kombinacji politycznych i dynastycznych, partyjnych szachrajstw i brudnych zabiegów wielkiego przemysłu i junkierstwa pruskiego, a także tendencyjnej, zaprawionej mocno fałszem, niemieckiej nauki i propagandy — była rzekoma niemieckość Śląska skompromitowana w obliczu całej Europy tak haniebnie i kilkakrotnie. Natomiast odwieczna polskość Śląska była i jest naturalnym wykwitem sił zakorzenionych głęboko w przeszłości, w żywej tradycji plemiennej, w kulcie języka i obyczaju a zwłaszcza w kulcie życia rodzinnego, gdzie matka licznego zwykle potomstwa — znaczyła zawsze wiele. A że te wszystkie kulty z natury rzeczy krzewią się na podłożu wierności, rzetelności, uczciwości — więc tym właśnie żywiołem, tym instynktem etycznym z umiłowania tradycji, rodziny i ziemi płynącym nasyciła się mocno polskość Śląska.

Walka o nią — to dla Ślązaka z krwi i kości walka o prawdę, o sprawiedliwość, o język ojczysty i szkołę, o wolność i poszanowanie człowieka bez różnicy stanu, to walka ze społeczną i narodową krzywdą. Trzeba ją było toczyć na różne sposoby i w różnych dziedzinach życia jednostkowego i zbiorowego przez setki lat i nigdzie w Polsce na taką skalę i tak długo jak właśnie na Śląsku. **Tu zapewne szukać należy wyjaśnienia tak znamiennych dla tej ziemi a wciąż w różnej postaci odnawiających się zainteresowań dla zagadnień społecznych, moralnych i religijnych aż do mistycyzmu włącznie.** Tu szukać trzeba wyjaśnienia tej wrażliwości na opinię publiczną, większej bodaj niż gdzieindziej w Polsce. Ukaz urzędowy, paragrafy, przepisy — przypominały zaborcę, niemczyznę, więc przyjmowało się je nieufnie, stosowało się do nich pod przymusem, bez niemieckiej, niewolniczej skwapliwości. Opinia publiczna miała o wiele większe, decydujące znaczenie, mocniej obowiązywała, sięgała głębiej, wymierzała dotkliwsze od fizycznych kary. Tym się tłumaczy **ogromna rola społeczna pism, periodyków uznawanych przez ogół i szeroko,** na skalę gdzieindziej u nas nieznaną, rozpowszechnionych, a redagowanych przez trybunów ludu śląskiego, otoczonych szacunkiem, ogólnie znanych. Tak było na Śląsku przez dziesiątki lat, tak było aż do czasów ostatniej wojny. Tak zapewne będzie nadal, **o ile Ślązacy o życiu Śląska będą decydować.**

Od dawna utarło się na Śląsku przeświadczenie, że im silniej jednostka, grupa społeczna, polityczne stronnictwo zajmie się sprawami społeczno - politycznymi, tym więcej zdobędzie dla siebie uznania. I dziś, kiedy troska o zdrowie moralne i fizyczne naszego społeczeństwa wysuwa się na czoło wszystkich trosk, na ogólne poparcie i szybki rozrost może liczyć na Śląsku ta instytucja, ta grupa, ta partia, która nie w programie tylko, ale przez rzytelne wysiłki tym właśnie pracom się poświęci, **która się skutecznie i ofiarnie zajmie dzieckiem i matką i szkołą, która uczciwie i na szeroką skalę podejmie walkę z wszelaką krzywdą.**

Pisało się u nas niemało w ostatnich czasach o tak zwanej społecznej genealogii polskiej inteligencji. Niestety — obszar, z którego czerpano argumenty był i jest zbyt ograniczony w czasie i przestrzeni. Stale, z jakimś uporem niewytłumaczonym pomijano Śląsk. A przecież obserwacje z tego właśnie terenu są w tej dziedzinie niezwykle pouczające. **Na Śląsku istnieje od dawna odpowiednik tego, co gdzieindziej zowie się „polską inteligencją". Ale nie stanowi ona tu nigdy jakiejś odrębnej grupy czy warstwy, ale nieustannie rozpływa się w całości śląskiego społeczeństwa, nigdy się z niego nie wyodrębnia.** Tak właśnie dzieje się i w innych zachodnich społeczeństwach. Śląskiej „inteligencji" ze szlachty wywodzić nie można: **wyrasta ona bez reszty z ludu i nigdy się od niego nie oddziela.** W niejednym wypadku robotnik czy chłop łączy często swoje zawodowe zajęcia z zainteresowaniami wybitnie umysłowymi, a nawet czasem bez większych trudności w dziedzinę pracy umysłowej jako teoretyk, działacz, dziennikarz, polityk się przerzuca. Między miastem a wsią rozdział jest tu często bardzo mały i wzajemne ich przenikanie się bywa bardzo intensywne. Liczba polskich inteligentów śląskiego pochodzenia szybko rośnie, począwszy od połowy zeszłego wieku. Bo też **zrośli się oni mocno z rodzinną ziemią jak drzewa a nie są jak te przelotne ptaki — jak to u nas najczęściej bywało.** Stąd też w niemałej mierze wywodzi się ich tężyzna, ich żywotność, ich pion niechybotliwy. **Trzeba o nich wiedzieć, trzeba się tym najwybitniejszym przyjrzeć, trzeba poznać ich wspaniałe, podziw budzące trudy. Nie wolno ich wyłączać za nawias,** bo wprawdzie Śląsk dla reszty Polski to wciąż jeszcze „kraj nieznany", ale już w XIX w. to jest przecież Polska prawdziwa i rdzenna.

Zestawione tu dorywczo spostrzeżenia należy starannie sprawdzić, rozwinąć, pogłębić. Cechy te wskazują na to, że w jednostkowym i zbiorowym życiu społeczeństwa polskiego na Śląsku w jego przedwojennej strukturze — bardziej niż gdzieindziej u nas — oczywistą rolę grał **charakter.** On decydował o najważniejszych sprawach. Trzeba było okazać się tęgim, wyrobionym, wartościowym charakterem, a wtedy bez względu na „społeczną genealogię" można było o to społeczeństwo z całym zaufaniem się oprzeć i bardzo wiele z nim i w nim zdziałać.

Podobnie bywa i gdzieindziej, ale nie w takiej skali, bez oparcia o taką bogatą i nieprzerwaną tradycję życia społecznego.

A jeśli tak się rzeczy mają, to przyjdzie uznać właśnie Śląsk, ludność rdzennie śląską za wysoce wartościowy odłam polskiego społeczeństwa. **Nigdzie u nas nie znajdziemy takiej wiekowej zaprawy w walce o podstawy narodowej kultury ani takich wyników zdumiewających swoją powszechnością, swoim „społecznym klimatem".**

A jeśli tak — to właśnie ze Śląska możemy się spodziewać najsilniejszej, mocno postawionej, z wrodzonym Ślązakom realizmem i rozmachem prowadzonej akcji odbudowy życia społecznego i narodowego.

Perspektywa Odry

Jest jeden poważny błąd, który popełniliśmy w akcji wysiedlania Niemców z granic Polski. Trudno nam powiedzieć, o ile dało się w toku trwania akcji błędu tego uniknąć, winny to wytłómaczyć odpowiednie czynniki urzędowe. Błąd polegał na tym, że Niemców pogranicza polsko-niemieckiego a więc z Górnego Śląska, Pomorza i niektórych części Prus Wschodnich, będących po większej części pochodzenia polskiego i znających ten język, wychowanych przeważnie w tradycji polskiej kultury ludowej — wysiedliliśmy do Niemiec, zamiast skoszarować ich w obozach pracy gdzieś w głębi kraju, wykorzystać jako siły robocze i rozpocząć akcję przywracania tym ludziom świadomości narodowej polskiej.

Jakie są konsekwencje tego błędu? Wysiedleni niełatwo zwiążą się całkowicie z ziemią niemiecką. Nie zależy zresztą na tym politykom niemieckim, którzy wolą, by przesiedleni Niemcy nie zerwali psychicznie z opuszczoną ziemią. W tym celu tworzy się i popiera w głębi Niemiec regionalne koła wysiedleńców, nieraz z dodatkiem „wiernych rodzinnemu krajowi" (heimattreu), Ślązaków, Kaszubów, Mazurów itd. Koła te nie pozwalają zapomnieć wysiedlonym o opuszczonych stronach, przypominają o nich na uroczystych akademiach wszystkim Niemcom. Nazywa się to niewinnie „pielęgnowaniem odrębności regionalnej" a ma znaczenie polityczne. Obnosi się stroje narodowe kaszubskie, wielkopolskie ba — w Westfalii tańczy się nawet trojoka, aby tylko przypominać Śląsk.

W ten sposób odżywa na nowo pamięć niemiecka o utraconych ziemiach wschodnich. Wysiedleni przez nas pogranicznicy to doskonała dla niej pożywka. Asymilując się ciężko będą odwracali wzrok Niemców poza Odrę.

Ci wszyscy Niemcy, z pochodzenia i tradycji rodzinnej Polacy, powinni byli zostać w Polsce, gdzieś z dala od swych rodzinnych stron, gdzie pracą zapłacili by za odstępstwo narodowe. W Niemczech są męczennikami, u nas byliby pokutnikami, tam stają się wichrzycielami pokoju i kto wie, czy nie stworzy się z nich znowu kiedyś problemu międzynarodowego, u nas byli by elementem pokoju i pracy.

Zbliża się zima, oczy całej Polski obrócone są na Śląsk. Dłonie górnika przyniosą całej Polsce ciepło. Na zdjęciu kopalnia „Ludwik" jesienią.

Wilhelm Szewczyk

Sąd i przesąd

W przedmowie do pracy Zygmunta Izdebskiego o niemieckiej liście narodowej na Górnym Śląsku *) dr Paweł Rybicki stara się objaśnić genezę i charakter pracy: wyrosła ona z dyskusji w łonie Komisji Socjograficznej Inst. Śl. nad referatem Izdebskiego. Zarówno dyskusja jak i sam referat nie pragnęły ani bronić ani oskarżać. Takie było założenie. Ale już we wstępie do tak pojętej pracy musi przedmówca stwierdzić, że praca nie jest zupełnie obiektywna naukowo a szczególnie widoczne jest to w ocenie historycznej roli kościoła na Górnym Śląsku. Zamierzam wykazać, że obiektywizmu braknie autorowi również przy ocenie innych zjawisk, jeżeli zgodzimy się, że obiektywizmem jest równorzędne beznamiętne szeregowanie argumentów z obu stron.

Zarówno w świetle Volkslisty i jej przyjęcia na Śląsku jak i w świetle nauki o narodzie i państwie, streszczonej w głównych zarysach na początku książki z zastosowaniem jej do omawianych zjawisk **— Ślązacy w większości nie posiadają jeszcze pełni świadomości narodowej.** Proces odrodzenia narodowego, rozpoczęty w w. XIX, nie jest jeszcze w pełni ukończony, nawet na tym skrawku Górnego Śląska, który przeszedł długotrwały, bo 20-letni chrzest polskości. Natomiast niezależnie od tego wydaje się, że Śląsk miał już swoje okresy, w których świadomość narodowa była pełniejsza i dojrzalsza. Tak było w okresie plebiscytu. Potem nastąpiło osłabienie, spowodowane głównie chyba zjawiskami ekonomicznymi, które na pograniczu odgrywają większą rolę niż w głębi kraju.

Referując sprawę świadomości narodowej Ślązaków, autor słusznie powiada, że świadomość narodowa nie jest czymś bez ustanku aktualnym w życiu psychicznym człowieka. Ale już następne zdanie jest mgliste. „Bodźce zewnętrzne wyzwalają w pewnych momentach dyspozycje narodowe przez długie lata nieraz drzemiące. Okres okupacji niemieckiej jest... okresem... działania tych bodźców". O jakie dyspozycje tu chodzi? Zdanie można bowiem rozumieć w ten sposób, że wyzwolone zostały dyspozycje narodowe niemieckie. Ale skądinąd wiemy, że dyspozycje narodowe są u Ślązaków wrodzone, a te są polskie. Ze zdania autora mogło by wynikać, że polskie to dyspozycje nabyte. To potwierdziłoby poglądy niemieckie, głoszone w czasie okupacji także i przez autorów Volkslisty. Praca o typie naukowym wymaga zupełnej jasności. Niestety niejasnych miejsc w pracy dra Izdebskiego jest więcej a w wielu wypadkach wynikają one z pewnego widocznego uprzedzenia do Ślązaków.

Mamy zatem rok 1921. Na terenie przyznanym po plebiscycie Polsce 56% Ślązaków oddało swe głosy za Polską. Sytuacja poprawia się później o tyle, że ubywają Niemcy-optanci a na ich miejsce przychodzi bojowy element polski, uchodźcy z Opolszczyzny. We wrześniu 1939 odpływają stąd ci Polacy, którzy tu po roku 1922 przyszli z głębi kraju. Według wszelkich obliczeń zostaje odtąd na Śląsku w większości element bezwzględnie polski. Sam Izdebski podaje, że na 1 200 000 ludności Śląska Górnego na początku wojny 800 000 to była ludność **niezawodnie polska.** Z treści sąsiednich zdań wynika, że była ona niezawodnie polska nie tylko z racji swego pochodzenia. Tymczasem spada na Ślązaków Volkslista i okazuje się, że jedynie 2% nie przyjęli Niemcy na swą listę narodową. Reszta podała się za Niemców, wyparła się na piśmie swej polskości, ta reszta **niewątpliwie** polska i **niezawodnie polska.** Co się nagle stało na Śląsku, skoro w ciągu jednego roku mogła nastąpić taka pozorna katastrofa polskości?

To pytanie zadawał sobie już w czasie okupacji niejeden Polak. Tę zagadkę psychologiczną próbował wyjaśnić biskup katowicki Stanisław Adamski, przypisując „winę" sobie a więc władzom kościelnym na Śląsku oraz rządowi Sikorskiego w Londynie. Ten problem pragnie także wyświetlić autor omawianej książki.

Trzeba przyznać, że ze znawstwem wymienia przyczyny dalekie i bliskie, które spowodowały powstanie tego masowego zjawiska. Nie wszystkie przyczyny nazywa jednak ich pełnym mianem i nie zawsze jest przy tym obiektywny. Jeśli wspomina, że przyczyną niektórych rozdźwięków od samego początku było także **tło klasowe**, to czyni to mimochodem, a tymczasem nam wydaje się, że to jedna z najgłówniejszych przyczyn. **Tu leży centralne źródło poczucia odrębności śląskiej zarówno w stosunku do Niemców jak i do Polaków.** Najlepiej ujął to kiedyś Arka Bożek, kiedy tłumaczył rektorowi Uniwersytetu Wrocławskiego, dlaczego Ślązacy niechętnie posyłali swych synów na studia do Wrocławia i do Krakowa. „Bo tam z nich robili Niemców a tu panów." Polska, która przyszła w r. 1922 na Śląsk, była Polską szlachecką, ze wszystkimi złymi cechami tego przymiotnika. Widoczne to było zarówno ze stosunku polskiego urzędnika do robotnika-autochtona jak i z obyczaju życia i pracy, który tu wnoszono. Wśród Ślązaków nieznany był kompleks pana i chama, pan był tu zawsze obcy a „cham" zawsze pełen godności i pańskości. Kto tu pragnął postępować „po pańsku", musiał zostać uznany za obcego, choćby i polskim językiem przemawiał. Z drugiej strony znowu wiemy, że każdy robotnik z głębi Polski, który tu przyszedł, w środowisku robotniczym asymilował się szybko do tego stopnia, że w czasie okupacji niejeden z nich narówni z Ślązakami przyjął Volkslistę.

Życie śląskie zaczęło tworzyć własny krąg, polski z ducha i oblicza a śląski jedynie z form. Życie duchowe wyżywało się w pielęgnowaniu regionalnej formy przeżycia i twórczości. Myli się Izdebski twierdząc, że ta pielęgnacja odrębności regionalnej kultury ludowej była niczym innym jak jednaniem sobie ludności śląskiej przez rząd. Nie było to żadne jednanie ale potrzeba, tak jak jest nią i dziś. Tradycja jest dla Polaka śląskiego rdzeniem, wokoło którego narasta bujny żywot duchowy. Czy by rząd był chciał czy nie chciał, tradycja byłaby nadal motorem życia narodowego, tak jak była nim, Bogu dzięki, długie lata niewoli. W tamtej Polsce szlacheckiej **istniało** lepsze obyczajowe prawo do kształtowania tutejszego życia na śląski wzór, nie mające nic wspólnego z separatyzmem. Prawem tym był obyczaj śląski, charakter, obyczaj pracy, praworządność względnie prorządowość, jak to nazywa Izdebski i co słusznie uważa za wrodzoną cechę Ślązaka. (O niektórych tych cechach pięknie i mądrze mówi prof. Roman Pollak na czele niniejszego numeru). Stąd wypływa też owo prawo lokalnej „elity" — o której z takim zgorszeniem pisze Izdebski — do rządzenia tą ziemią. Ale prawo nadane jej przez Polskę i z jej woli i tylko tego domagała się i domaga „elita" śląska, nota bene wyłoniona z grona robotników i chłopów śląskich.

Tak płynęło życie. Propaganda z za miedzy, stosunki ekonomiczne w tej części Śląska oraz bezkarność Niemców w Polsce coraz gwałtowniej mącą obraz Polski w umysłach Ślązaków. Zbliża się pierwszy akt dramatu a uwerturą doń są nawet nie wydarzenia polityczne, lecz ucieczka napływowych Polaków ze Śląska w głąb kraju. Ucieczka zrozumiała, — bo każdy lubi zadbać o swe lary i penaty, — gdyby nie była połączona z paniką. Mówi Izdebski, że ci Polacy oczekiwali szczególnych ze strony Niemców represji jako winni repolonizacji Śląska. Tymczasem stało się inaczej, pierwsze, najostrzejsze represje obróciły się przeciwko Ślązakom znanym ze swej nieustępliwej polskości. Natomiast znam wielu takich, którzy Śląsk opuścili w sierpniu a później we wrześniu jeszcze lub październiku tu wrócili lub wysłali swe żony i uzyskali pozwolenie na wywóz części swych mebli (kuchnia, sypialnia). W ten sposób nawet jednemu z nich, choć pisał antyniemieckie książki, udało się wywieźć do Krakowa całą swoją bibliotekę. Dla Niemców zrazu najważniejszą była likwidacja miejscowego polskiego elementu przodowniczego.

Najważniejsze stronice w książce są te, na których autor mówi o atmosferze zastraszenia i terroru, jaka nastąpiła zaraz z początku i która utrzymywała się aż do do końca roku 1943. W tej atmosferze przyszła pierwsza próba: „odcisk palca", pierwsza rejestracja ludności z punktu widzenia przynależności narodowej. Próba ta była słabo jeszcze przygotowana przez Niemców i nie mogła im dać pożądanych wyników. Już tutaj pojawia się metoda maskowania się. **Pojawia się samorzutnie, jako wynik doświadczeń historycznych i analizy chwili.** Ale tu zdarzają się jeszcze protesty przeciw zwyciężającej metodzie, której sprzyjało ogólne zastraszenie, pamięć krwawego września, publicznych egzekucyj oraz atmosfera zawodu i opuszczenia. Spory zastęp Ślązaków przyznaje się na formularzach „palcówki" do narodowości polskiej, wielu zostaje przy tym aresztowanych, liczne formularze poprawiają rozwścieczeni urzędnicy niemieccy. Szkoda zatem, że publikując dokumenty w drugiej części swej książki autor i wydawca obok „odcisku palca" Ślązaczki, która podała się jako „deutsch", nie dali „palcówki" śląskiej z „polnisch" zamiast reprodukowanej „palcówki" mieszkanki Zagłębia Dąbrowskiego, urodzonej w Poznaniu i z zawodu inteligenta. Takie zestawienie może mieć nieprzyjemną tendencję, której nie chcemy przypisać wydawcom, lecz przypadkowi.

Biskup katowicki w swej broszurze („Pogląd na rozwój sprawy narodowościowej w województwie śląskim w czasie okupacji niemieckiej", Katowice 1946) stwierdza, że w porozumieniu z ówczesnym emigracyjnym rządem polskim namawiał w drodze poufnej propagandy do maskowania się i ukrywania swej polskiej narodowości. Potrącając o tę sprawę Izdebski szerzej omawia rolę kościoła na Śląsku stwierdzając, że **bronił on polskości nieświadomie.** „Nie było intencją sfer kościelnych wiązać religii z polską świadomością narodową". Śmiałe to twierdzenie nie znajduje w książce żadnego głębszego wytłumaczenia, nie to z resztą było celem książki. Ale zaprotestować muszę przeciwko tej metodzie dowodzenia, jaką autor usiłował swe twierdzenie mimo wszystko podeprzeć. Oto jej przykład: Broszurze ks. Nieborowskiego („Oberschlesien, Polen und der Katholizismus", także w języku polskim) z roku 1919 przypisuje autor wagę jednego z czołowych dokumentów na poparcie swej tezy. Ale zapomina przy tym, że broszura ta spotkała się z ostrą odprawą także i kleru śląskiego, który w przeciwieństwie do ks. Nieborowskiego czuł po polsku i pragnął zjednoczenia z Polską. Najważniejszą pozycją jest tu książeczka ks. dra Józefa Opielki „Górny Śląsk, Polska i katolicyzm. W odpowiedzi ks. dr P. Nieborowskiemu" (Mikołów 1920). **„Jest wszakże różnica** — pisze ksiądz Opielka we wstępie — **między mną— Górnoślązakiem a Nieborowskim. On pragnie jako Niemiec widzieć Górny Śląsk w szponach niemieckich, boć z całego jego pochodzenia śląskiego pozostało mu tylko nazwisko arcypolskie, duszę dawno zaprzedał hakacie. Ja zaś jako Górnoślązak widzę ziemię moją w szczęśliwej przyszłości ale tylko w połączeniu z macierzą Polską."** Szkoda, że tego wspaniałego dokumentu, obijającego zresztą dowodzenia Niemca Nieborowskiego w sposób wybitnie naukowy, nie zauważył autor książki o niemieckiej liście narodowej.

Zagadnienie jest wielkiej wagi i może znajdzie się inna okazja lub platforma do przedyskutowania go. (Przydałaby się „środa" Instytutu Śląskiego na ten temat). Wróćmy zatem do decyzji katowickiego biskupa. Wydaje mi się, że **za nadto przeceniamy rolę tej biskupiej propagandy w popularności metody maskowania.** Pamiętam — sam brałem udział w dyskusjach górników na ten temat, pracując wówczas jako górnik — że metoda ta zrodziła się samorzutnie a wielu o decyzji biskupa nawet nie słyszało. Niepotrzebnie zatem biskup bierze całą odpowiedzialność na siebie i niesłusznie od razu Izdebski wyciąga z tego faktu negatywne w ocenie roli kościoła na Śląsku wnioski. Ja bym metodę tę wyprowadził — co już powiedziałem wyżej — z doświadczeń dziejowych, z analizy chwili i z atmosfery terroru i zastraszenia. Podobnie zresztą sądzi Alojzy Targ, autor „Śląska w czasie okupacji", który o decyzji biskupa nawet nie wspomina szerzej, upatrując źródło powodzenia Volksliste gdzie indziej.

Wszystkimi tymi uwagami nie chciałbym wywołać wrażenia, że książka Izdebskiego budzi same sprzeciwy. Jest ona w wielu rozdziałach pracą pożyteczną i potrzebną. Wiernie oddał autor obraz poszczególnych grup Volksliste. Warto tu dodać, że grupa trzecia miała najszerszy wachlarz, od bohaterów narodowych (świadectwo gauleitera Brachta na str. 50 książki Targa) po zdecydowanych renegatów i zdrajców. Doskonale także nakreślił sytuację na Śląsku po wyzwoleniu. Dołączony do książki zbiór dokumentów jest nieocenionej wartości. Zebrano tu po raz pierwszy wszystkie dostępne dokumenty niemieckie, dotyczące Volksliste i polskie rozporządzenia władz aż po 22. 12. 1945.

Niemniej **książkę dra Zygmunta Izdebskiego można czytać jedynie w połączeniu z książką Alojzego Targa** **). Ma ona charakter gorącej apologii Śląska i Ślązaków, opartej jednakowoż na faktach. Tam gdzie Izdebski wątpi lub wykręca się jakąś zasadą naukową (niech mi autor nie weźmie za złe tego wyrażenia), tam Targ znajduje odpowiedź, podaną nieraz anegdotycznie, ale niemniej prawdziwą. Książka Targa porusza żywo wszystkie odcinki życia śląskiego w czasie okupacji. Poglądy autorów nieraz się zbiegają. Targ daje obraz szerszy, co już wynika z samego tytułu.

Na podstawie dużego skrótu historycznego wyjaśnia Targ, skąd wzięła się odmienność metod niemieckich na Śląsku, w Poznańskiem i w G. G. Na Śląsku zwyciężyła teza: „Śląsk jest niemiecki, Ślązacy to zbałamuceni i spolonizowani Niemcy. Kto się świadomie i otwarcie przyznaje do tego, że jest Polakiem, popełnia zdradę wobec narodu niemieckiego." W świetle tej

„Gdy dobrze ustanowione granice są najpewniejszym warunkiem bezpieczeństwa każdego państwa, trudno było nie dotknąć tej myśli, że od zachodu nigdzie pewnej granicy mieć by nie mogła Polska, gdyby we wszystkich punktach nie dopierała do Odry od źródła aż po jej ujście... Nie znałby ten dziejów polskich, kto by nie wiedział, że Szląsk, Luzacja, Nowa Marchia i Pomerania składały jej prowincje; można te ziemie przyłączyć do Germanii, lecz nie można mówić, ażeby lud, który się tam rozrodził, był niemiecki..."

(Hugo Kołłątaj: Uwagi nad teraźniejszym położeniem tej części ziemi polskiej, którą od pokoju Tylżyckiego zaczęto zwać Księstwem Warszawskim 1808).

tezy inaczej się potoczy dyskusja nad Volkslistą, inaczej też ocenieni zostaną ci wszyscy, którzy mieli odwagę tę „zdradę" popełnić. Targ jest bardziej optymistyczny w określeniu ilości uświadomionych narodowo Ślązaków. Jak istnieje mienie poniemieckie, tak mogą także istnieć poglądy poniemieckie. Poniemieckim jest pogląd, który uważa, że ilość uświadomionych narodowo Polaków śląskich w okresie okupacji malała. Targ udowadnia natomiast, że w okresie owym nastąpił zadziwiający rozkwit poczucia narodowego. I to uważa za **zysk** czasów okupacji. I ten dowód uważamy za zysk pracy autora.

Izdebski przeszedł niestety do porządku dziennego nad wojną Śląska z września 1939, która miejscami nosi charakter czwartego powstania. **Targ wiele uwagi poświęca w swej książce polskiej akcji zbrojnej i konspiracyjnej na Śląsku.** Te zjawiska w kręgu spraw Volkslisty mają pierwszorzędne znaczenie i niedocenianie lub pomijanie ich stwarza niekompletny zarys klimatu, w którym lęgła i rozwijała się Volkslista.

Targ jest pierwszym Polakiem, który opisuje konspirację śląską na podstawie źródłowych danych. Izdebski w swej książce wspomina o niej mimochodem, żałując, że ujawniły się tylko grupy związane z P. P. R. Targ ujawnia całą tę część konspiracji śląskiej, która była związana z delegaturą rządu londyńskiego.

Ryzyko konspiracji na Śląsku było największe. Potęgowała je atmosfera tu panująca oraz nieszczęśliwy stosunek Niemców do Polaków (na Śląsku 1:3, w G. G. 1:32). Pomimo to wyrosła w konspiracji wspaniała organizacja bojowa. Ale cięższe ją czekały ciosy niż gdzie indziej. Kierownicy wszystkich trzech wojskowych ośrodków konspiracyjnych, — Katowice—Chorzów, Bielsko—Dziedzice, Cieszyn—Zaolzie — giną na posterunku. Nazwiska ich brzmią: Józef Korol, Edward Zajączek, Paweł Musioł. Ostatniemu, ściętemu zimą 1943 w Katowicach, książka jest poświęcona. Konspiracja objęła również Polaków z Opolszczyzny. Targ chwali trud i bohaterstwo dziewczyny śląskiej, kurierki, dzięki której utrzymywana była łączność między Śląskiem a resztą Polski. Oddaje cześć tym wszystkim, o których dziś się nie mówi, a którzy pracowali i ginęli dla Polski (n. p. działacze z T. C. L.) . Podkreśla rozwój tajnej opieki społecznej. Dzięki niej wielu Polaków bez Volkslisty przetrwało okupację bez głodu i nędzy.

Odnośnie Volkslisty stwierdza: Chęć pozostania na miejscu była ważna i słuszna. Przypomina dalej, że na Śląsku taktykę barwy ochronnej stosowali i Polacy rodem z innych dzielnic ale tu pozostali. I to jest istotne dla zrozumienia atmosfery Volkslisty. Zgadza się zresztą z Izdebskim, że **dla dzisiejszej oceny tych ludzi ważny jest nie sam wpis na listę, ale postawa po wpisie.**

Na końcu porusza ważne zagadnienie Ślązaków w G. G., zapowiadając szersze omówienie tej sprawy przy innej okazji. Stwierdza, że **Ślązacy, uchodźcy ze Śląska do G. G., reprezentowali tam element wysoce patriotyczny, awangardę walki o nasze ziemie zachodnie.** „Wszyscy zaś tak zwani Ślązacy, którzy pojawili się w G. G. jako Niemcy, muszą być rzeczywiście traktowani jako Niemcy."

Książka Targa pokazuje wiele jasnych stron życia śląskiego w okresie okupacji. i to jest jej największą zasługą. Urosła nowa silna świadomość narodowa. Zachowany został i podniesiony poziom moralny Polaków śląskich w przeciwieństwie do społeczeństwa w G. G. Oto są zyski czasu okupacji. Zyski, które pomimo ogromnych i bolesnych strat, liczą się dziś jako zwycięstwo. Zyski, które inkasuje nowa Polska, nowy rząd polski i oby nimi oszczędnie i rozumnie gospodarowano. I ójdzie to łatwo,, jeśli przypomnimy podniesioną przez Izdebskiego tezę o prorządowości (i praworządności) Polaków śląskich.

Piękna jest książka Targa. Napisana z wewnętrzną pasją odsłania obraz Śląska, jakim był i jakim jest, i jakim trudno go będzie zapoznać. Głosi prawdę historyczną a że komentarz do niej pisze entuzjasta, to i książka jest żywsza. Zaś entuzjazm Targa nigdy nie wychodzi poza prawdę.

*) Zygmunt Izdebski: Niemiecka lista narodowa na Górnym Śląsku. Pamiętnik Instytutu Śląskiego, Seria II. 3. Katowice — Wrocław 1946. Stron 253.

**) Alojzy Targ: Śląsk w okresie okupacji (1939 — 1945). Wydawnictwo Zachodnie. Poznań 1946. Stron 92.

»Arkusz Śląski«
Zw. Zawod. Lit. Polskich
Oddział Śląski
Wydawnictwo seryjne
Dotychczas ukazały się
WIERSZE
Jana Baranowicza, Aleks. Widery
Aleksandra Baumgardtena
Do nabycia w cenie zł 25
za egzemplarz w sekretariacie „Odry"

Ostatnie Sensacyjne Nowości Wydawnicze !
Stefan Otwinowski
CZAS NIELUDZKI stron 130 130 zł
Krystyna Fuzakowska
MIEJSCE WŚRÓD LUDZI stron 170 180 zł
(84)
do nabycia we wszystkich księgarniach
»Oficyna Wydawnicza« Katowice, ul. Młyńska Nr 2
Telefon 234-85 i 366-37 Konto P.K.O. III-4949

Nowe wiersze Antoniego Derkacza

Piosenki

Śpiewaj, śpiewaj na katarynce
mnie, żołnierzom i morskiej śwince
o cmentarzu i o dziewczynce.
...w ogród to jaki siostro miła
śpiącego mnie porzucisz
i choćbyś z lampą przychodziła
warkocz splatała i mówiła
— mój Janku — nie docucisz
Dudni wojsko po srebrnych mostach
chwyta ptaki czerwcowy las
a tu taka piosenka prosta
śpiewaj, śpiewaj ją jeszcze raz
— czarną sutannę chłopcze miły
taką to porą szyją
przy węglach co się rozpaliły
nić czarną panny wiją...
czarną sutannę z guzikami
na które łzy nawleką...
płynie płynie srebrnymi mostami
katarynka nad zapomnień rzeką
Przystanąłem za mostu tęczą
a tu panny żołnierzy wieńczą
ćmy po hełmach płonących brzęczą
piosnki grają... a mnisi klęczą.

* * *

jeszcze im pożar głów
dreszcz po brwiach burza słów
o młodzi nierozważni
tak po obręczach snów
wakacji chłodna zieleń
przewcźnik, Narwi nić
— a niech was wszyscy diabli
żeście tak na prom spadli —
a one tylko: — pić
Tak powoje róż chłodnych przewiązują
frany
byle krew co je pali zmyć
a i wy po miłości spadacie na dzbany
byle usta przede mną skryć.

Walc banalny

czy wiemy czy nie wiemy
z różańcem swym zaśniemy
do ziemi tuląc twarz
czy chcemy czy nie chcemy
pogasną chryzantemy
i panny jakie znasz
niech o żonach chłopcy marzą
pod topoli ciemnych strażą
kiedy w oknach nów
i tak szrony liście zwarzą
wrócą w łoża z chłodną twarzą
na popioły snów
niechaj chłopcy srebrne kłosy
wiją w panien złote włosy
w kujawiaków czas
coby smutne dały losy
wojny nowe czarne wrzosy
miłość zwiedzie nas
szli tak w cmentarz wędrować
pannę śpiącą pochować
my za nimi czarnymi schodami
ze snu takiej nie zwołać
choć i chłopcom całować
jak w walczyku tuż tuż nad rzęsami

Niemiec w malarstwie polskim

Od lewej ku prawej: „Branka krzyżacka", obraz Wojciecha Gersona. — „Gruby szlachcic ściska za rękę w niemieckie szaty przebranego fircyka, że ten aż kacze z bólu" — taka jest treść szkicu Aleksandra Orłowskiego. — „Biczowanie", rysunek Jana Styki, między dzieckiem polskim a katującym je nauczycielem niemieckim pojawia się postać Chrystusa. — „Rycerz Grenzschutzu", rysunek Zygmunta Kamińskiego (repr. za „Tygodnikiem Illustrowanym", ogólnego zbioru nr 3190 z dn. 1 stycznia 1921).

Stefan Sulima

Ziemia odnalezionych przeznaczeń (3)

Tragizm uciemiężonych dusz

Prusy są krajem, w którym analogiami do reszty b. zaboru pruskiego daleko się nie zajedzie. By znaleźć wspólny język nie tylko z niedobitkami polskich działaczy narodowych i świadomych swej polskości tuziemców, ale z całą ludnością miejscową, trzeba posiadać znajomość terenu, większą, niż jej dostarcza codzienna prasa. Tu łatwo pozostać niezrozumianym, szczególnie wtedy, gdy się chce znaleźć najbardziej intymną i wspólną wszystkim Polakom platformę porozumienia: doświadczeń z niemczyzną.

Przybysz z za granic „przedwrześniowych" przeżywa na tym terenie nie jedno rozczarowanie i wynosi z zetknięcia z Mazurami i Warmiakami niebezpieczne urazy i uprzedzenia. Ludzie wiedzą piąte przez dziesiąte o plebiscycie 1920 r., o martyrologii działacza polskiego i narodowo uświadomionego Polaka, wysnuwają stąd daleko idące wnioski ogólne i są wstrząśnięci, gdy w obcowaniu z przeciętnymi tubylcami, mówiącymi po polsku nie wyczuwają bojowej postawy wobec niemczyzny i absolutnie negatywnego stosunku do wszystkiego co niemieckie. Nie mniej nieoczekiwany jest brak zrozumienia i oddźwięku dla drastycznie podanych szczegółów okupacji niemieckiej w Polsce. W świetle tych doświadczeń Mazurzy i Warmiacy wydają się wielu ludziom „co najmniej podejrzani" i nie godni zaufania.

Na terenie Prus spotykamy się ze zjawiskiem rzadkim w stosunkach polsko-niemieckich: metodą asymilacji a nie tępienia. Dla szeregu Polaków jest to niespodzianka, niejednokrotnie zapierająca dech w piersiach i przerażająca. Coś im się w tym wydaje nie w porządku. Tymczasem trzeba stwierdzić od razu na wstępie, że walki narodowościowej, takiej jak w Poznańskim czy na Śląsku, w Prusach nie było. Jeśli była, i to czasem bezwzględniejsza, to ograniczała się do aktywnych jednostek czy grup polskich.

Tutaj Niemców nie było stać na Wrześnie, Pszowy czy wozy Drzymały. Brak im było dostatecznych sił, oparcia w zapleczu i wiary w siebie. Walka w warunkach pruskich nie kalkulowała się im zupełnie, a groziła nieobliczalnymi następstwami. Wiekowe zaniedbania polskie, słabe tradycje państwowe sprzed rozbiorów (zwłaszcza na Mazurach), odseparowanie od ośrodków „polskiej irredenty", różnice wyznaniowe i regionalne, a przede wszystkim brak rodzimej inteligencji po stronie polskiej, obiecywały Niemcom łatwe stosunkowo sukcesy przy użyciu innej metody, łagodnego i cierpliwego, ale za to konsekwentnego, na lata obliczonego nacisku. Na tej drodze leżały liczne i zachęcające sukcesy w stosunku do zwykłych zjadaczy chleba, nadzieja politycznego i biologicznego sukursu. **W ten sposób realizował się wreszcie najważniejszy punkt programu antypolskiego, wykradnięcie Polsce głównego tytułu i oparcia w Prusach, jaki stanowiła ludność polska, silnie, rozradzająca się i przywiązana do rodzinnej gleby.** Dla takiego celu warto było nałożyć inną, niż gdzie indziej maskę, zwłaszcza, że w chwili rozpoczęcia akcji germanizacyjnej, czasu zdawało się być pod dostatkiem.

Aktywność elementu niemieckiego w Prusach zaznacza się mocniej po wojnach napoleońskich. Spisy ludności z r. 1825 w 8 tylko powiatach mazurskich: Ełk, Pisz, Nibork, Łuczany, Ostróda, Szczytno, Żądzbork i Olecko podają liczbę Polaków (jeszcze nie Mazurów) na 63,9-92,5%, przy przeciętnej 80% dla całości tego obszaru. Podobnie było na Warmii, szczególnie w środowisku wiejskim, a także i na Powiślu. Element polski odznaczał się silnym przywiązaniem do rodzimego obyczaju i języka, ale od źródeł polskiego życia narodowego był odcięty. Silna twórczość literacka miała tu przeważnie religijne podłoże i to protestanckie na Mazurach, a więc w tendencjach swoich obce reszcie Polski i jeśli poruszała momenty narodowościowe, to raczej w celu podniesienia aktywności ludu w obronie odrębności językowej i obyczajowej. Wojny napoleońskie, które tak silnie pobudziły tętno życia narodowego w Poznańskim i zapłodniły ruch wolnościowy, tu zaledwie po przez stosunki polskie budziły żywsze echa (Mrongowiusz, Gizewiusz). Miały one zresztą niekorzystne dla polskości skutki. Polski stan posiadania ziemi zmniejszył się w skutek wojny bardzo znacznie. Wielka część inteligencji ziemiańskiej zwróciła swe aspiracje w kierunku urzędów, oderwała się od warstw ludowych i wpadła pod bezpośrednią zależność od władz. Przeciwnie **Niemcy pruscy zrobili karierę na Napoleonie.** Ta podupadła dzielnica, dzięki zażartej kampanii, tułaczce pary królewskiej po zapadłych miasteczkach pruskich, dzięki wymowie pobojowisk, zdobyła sobie za jednym zamachem rozgłos i sentyment, nie bez udziału romantyzmu niemieckiego, który z kolei miał udział w rozbudzeniu patriotyzmu niemieckiego. Sam pobyt gloryfikowanej pary królewskiej związał Prusy uczuciowym węzłem z resztą państwa i zwrócił na nie uwagę dworu.

Taktyka, jaką zastosowano wobec Polaków, była oparta zrazu na liberalnych zasadach. Przypuszczalnie nie był to nawet dojrzały ruch eksterminacyjny. Żyły tu tradycje Albrechta Hohenzollerna, który był mistrzem w tworzeniu rozdźwięków ludności tutejszej z Polską, tradycje żywe zresztą wśród protestantów mazurskich. Do Bismarcka polszczyzna istniała tu pod oficjalną nazwą. Język panował w życiu codziennym, kościele, szkole, sądzie i urzędzie, słowo polskie ukazywało się nagminnie w druku. Nawet powstania narodowe odbijają się tu dalekim echem i w pieśni ludowej zostawiają ślad.

Niemcy nie walczyli z tym na pozór, dbali tylko, by utrzymać izolowany charakter regionu. **Polskość rezerwatowa — oto był ideał pruskiego reżimu w pierwszej połowie XIX wieku.** Środowisko bierne i zasklepione w sobie, ograniczające się do trwania przy języku i zwyczaju, siłą faktu było bezbronne wobec zakusów niemczyzny.

W praktyce germanizacyjnej baczna uwaga została poświęcona młodzieży. 80 lat temu, gdy wszystkie sfery życia prywatnego i publicznego opanowane były przez polszczyznę, od młodych zaczęto podważanie polskiego stanu posiadania. Nie wprowadzenie bowiem dwujęzyczności urzędowania, ani wysiłki zgermanizowania duchowieństwa, ale usunięcie w czasie „Kulturkampfu" języka polskiego ze szkół było dalszym stopniem do ograniczenia polskości. „Wymierającym trzeba pozwolić umrzeć", głosił jeden z wybitnych renegatów mazurskich i to cyniczne powiedzenie stało się dewizą germanizacyjną aż do czasu Hitlera. Każda inowacja antypolska zaczynała się od każdorazowego młodego pokolenia, któremu cząstka po cząstce wyrywano coś z jego osobowości.

Początkowo „wymierającym" nie odmawiano imienia Polaka, potem godzono się tylko na Mazura lub Warmiaka, nie zaprzeczano im wszakże odrębności etnicznej i prawa do języka. Co więcej władza, gdy chciała skutecznie trafić do przekonania „wymierających", uciekała się do popierania renegackiej prasy Gerszów czy Skowronków, w której perfidna agitacja antypolska, niejednokrotnie sąsiadowała z szczerym umiłowaniem rodzimego folkloru i „gadki". Każde pokolenie na swój sposób było w tym systemie „wymierające", a jednocześnie spełniało rolę nosiciela bakcylów, zaszczepionych w młodości. Prusy dadzą się porównać do olbrzymiej retorty, w której pod ciśnieniem wyprażano polskość z coraz to głębszych pokładów świadomości.

Im bliżej współczesnych czasów, tym mniej można odmawiać skuteczności wysiłkom germanizatorów. Statystyki niemieckie, jakkolwiek bezwstydnie fałszowane, obrazuje jeden proces: malejącego napięcia świadomości narodowej w masach ludowych, za którym daleko nadąża zarzucenie języka, wyprzedzając znowu zatarcie poczucia obcości w stosunku do Niemców.

Przez długi czas **integralny regionalizm był ideałem systemu.** Niemal do naszych dni, na zapadłych wsiach, ludność nie mówiła w głównej swej masie po niemiecku. W ramach tego skostnienia odbywał się dalszy proces rozbijania. Na wewnątrz służyły mu odrębności gwarowe, religijne i historyczne (Warmia, Mazury), nawet z przywiązania Mazurów do „krakowskiego szryftu" (gotyku) uczyniono linię podziału o religijnym niemal znaczeniu. Cały aparat państwowy i społeczny, z przewagą akcesoriów władzy, środków materialnych i świadomości celów nadawał tym usiłowaniom ciężaru gatunkowego i stempla lojalności. **Procesowi rozkładania polskości**

Kościoły wrocławskie

(Do artykułu „Wędrówka po kościołach wrocławskich")

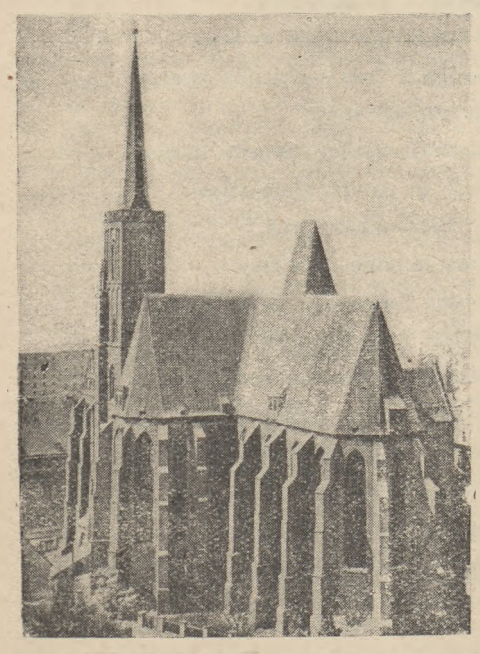

KOŚCIÓŁ ŚW. KRZYŻA, zbudowany w końcu XIII wieku przez Henryka IV Probusa. Perła architektury gotyckiej na Śląsku. Jedyny na Śląsku kościół podwójny, dolny pod wezwaniem św. Bartłomieja, górny św. Krzyża.

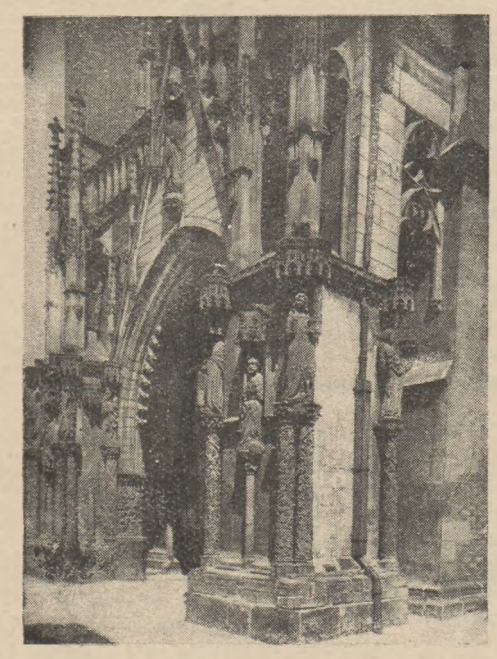

PORTAL KATEDRY WROCŁAWSKIEJ.

KOŚCIÓŁ ŚW. WOJCIECHA, zbudowany w XIII wieku przez OO Dominikanów z Krakowa. Kościół wykazuje zapożyczenia form z ceglanego budownictwa Toskanii i Włoch północnych. Kościół uległ później gruntownym przebudowom, zachowując jedynie fragmenty pierwotnego planu budowlanego.

Roman Aftanazy

Wędrówka po kościołach wrocławskich

Pochodzę z kraju białych, barokowych kościołów, — to też gotyk świątyń wrocławskich, zwłaszcza, że leżą przeważnie w gruzach — nie od razu mię ujął. Raziła mnie szorstkość i czerwień, czasem omal w czerń przechodząca — ścian, — i jakgdyby pewna obcość wraz z nimi dzieje tych kościołów, prawie zawsze polskich sięgające czasów i polskie kryjących pamiątki, — zabytki owe zainteresowały mię głębiej.

Wrocław — choć bezsprzecznie piękny, nie posiada jako całość wyraźnej, specjalnie charakterystycznej sylwetki, która równać by się mogła z panoramą np. Lwowa, jaka oczarowuje każdego, wjeżdżającego do tego grodu. Widziany z oddali nie strzela w niebo wieżycami swych Domów Bożych. Zaledwie z kilku tylko miejsc poza miastem dojrzeć można wieżyce kościoła św. Elżbiety i kilku innych jeszcze. Reszta ginie w powodzi wysokich domów i nie wybija się z powodu idealnej płaszczyzny terenu.

Dopiero przechodzień, idący przez miasto wzdłuż Odry, widzi wyraźnie trzy najwspanialsze świątynie dolnośląskiej stolicy, zgrupowane w pobliżu siebie. Stoją one tuż nad brzegiem rzeki, otoczone starymi domami i zielenią. Dziś niestety i domy w gruzach i zieleń mocno przetrzebiona.

Z trzech owych świątyń, gotycki kościół Panny Marii, stojący na wyspie, zwanej „Ostrowem Piaskowym", pochodzi jeszcze z 1153 r. Obecny wszakże jego wygląd nadany mu został w wieku XIV-tym i XV-tym. Ufundowała tę świątynię Maria, małżonka Piotra Włosta. Z drugiej połowy dwunastego wieku zachowała się tu zresztą tylko płaskorzeźba romańska, umieszczona w tympanonie nad drzwiami do zakrystii, w prawej nawie budynku, a pochodząca z portalu pierwotnego kościoła. Przedstawia ona Matkę Boską, siedzącą na tronie z małym Jezusem. Po jednej stronie stoi fundatorka kościoła, zwrócona w stronę Matki Boskiej, trzymająca w ręku model kościoła (dwuwieżowego, podczas gdy obecny jest jednowieżowy), po drugiej stronie widzimy jej syna Świętosława. Odpowiednie wyjaśnienie daje łaciński napis. Pamiątka ta jest w dobrym stanie, jakkolwiek wymagałaby gruntowniejszego zabezpieczenia ze względu na dokumentalną wartość swego polskiego pochodzenia. W kościele owym nie ma już zresztą nic godnego widzenia. Ruina okropna. Sklepienie nie istnieje prawie zupełnie, a szczątki jego leżą na posadzce, obrastają zwolna trawą i zielskiem. Tylko boczne ściany tego potężnego masywu stoją mocno, niewzruszenie.

Kościół Marii Panny na Piaskach nie jest czynny.

Ostrów Piaskowy z Ostrowem Tumskim łączy rzucony poprzez jedną z odnóg Odry lekki most konstrukcji żelaznej. Po przejściu tędy a następnie przez wąską starą uliczkę, znajdujemy się na placu, otoczonym przez stare domy, tworzące bądź niemożliwe do odbudowania zwaliska, bądź będące w stadium rekonstrukcji. Z boku, po prawej ręce, widnieje stos gruzów ze sterczącymi samotnie strzaskanymi kolumnami, czy zawieszonym w próżni piecem empire'owym, — to dawny pałac arcybiskupi. Na wprost widzimy katedrę, — nieco na lewo — kościół św. Krzyża.

Sylwetkę katedry zna każdy względnie kulturalny wrocławianin. Z pośród niestety niezbyt licznej grupy rzeczywiście kulturalnych mieszkańców naszego miasta, wielu było wewnątrz bazyliki. Niestety, — prawie wszyscy oni, zatrzymawszy się u wejścia, pośrodku głównej nawy, tak, jak i w kościele na Piaskach, pozbawionej dachu i sklepienia, postawszy tam chwilę, względnie rzuciwszy jeszcze okiem do naw bocznych, odchodzili przybici wrażeniem ogromu spustoszenia. Nie doszli w głąb lewej nawy, która za drewnianym przepierzeniem kryje skarby, może największe, jakie dzisiejszy Wrocław posiada. Są nimi trzy kaplice, z których dwie zachowane są w stanie wprost doskonałym, a tylko malowidła i sztukaterie w jednej z nich uległy uszkodzeniu, zatracając także koloryt.

towarzyszyła silna akcja wychowawcza, wiążąca obywatela z instytucją państwa zarówno od strony emocjonalnej jak rozumowej.

Rządy niemieckie w Prusach miały swój styl, którego kamieniem węgielnym był **lojalizm.** Ów sławny i osławiony zarazem rekwizyt sztuki rządzenia, wsparty o autorytet szkoły, kościoła i władzy, jest momentem, którego zapoznawać nie wolno. Znamy go w Polsce od jego trywialnej strony i dlatego może się on stać źródłem nieprzyjemnych niespodzianek. Tutaj przez wieki był on cnotą, jedną z najwyżej cenionych i to bez wyjątku wszystkich, Niemców i Polaków. W wielu wypadkach stanowił on kryterium... moralnej wartości człowieka, aczkolwiek podłoże jego było z gruntu niemoralne.

Gdy rozmawiam na temat pruskich urządzeń państwowych z tubylcami dostrzegam, jak głęboko mają wpojone ideały lojalizmu państwowego i jak boleśnie przeżywają potknięcia naszej administracji. Na lojalizm składał się szereg czynników, których na pewno wszystkich nie zdołam wyliczyć. Mieściła się w nim aprobata i podziw dla siły, sprawności i bezinteresowności władzy, ślepe zaufanie w fachowość rządzących, wdzięczność za wysoki poziom gospodarki, porządku i bezpieczeństwa krzewienie solidarności i uczciwości obywatelskiej. Była to dziwna idealizacja, za którą jak za wszystkim co robią Niemcy, kryło się tyleż pozorów co ukrytych łajdactw. Państwo niemieckie dbało tu bardzo o swoją opinię i gdzie się dało imponowało rzetelnością, spieszyło z pomocą, dawało obronę i możliwości życiowe, aby w sprawach śliskich i brudnych autorytetem swym i kapitałem zaufania pokrywać nadużycia. Tu nie do pojęcia była ostentacja naszych okupacyjnych władców, aczkolwiek władza z urzędu dopuszczała się nie jednej szykany i gwałtu. Ale w oczach lojalnego obywatela były to rzeczy zupełnie usprawiedliwione.

Wielu Polaków łudziło się niegdyś, że plebiscyt wstrząsnął opinią pruską i obnażył cynizm władz niemieckich. Prześladowania działaczy tłumaczono sobie często strachem przed rozbudzonym ruchem polskim i reakcją na metody niemieckie. Niektóre koła łudziły się, że działalność Worgitzkiego i bojówek plebiscytowych otworzyła najbardziej zaślepione oczy. Tu z ust ludzi dowiaduję się czego innego. Plebiscyt w interpretacji lojalizmu, był pokazem sprawności, nieustępliwości i dojrzałości politycznej Niemców. Czuli się tu panami i mimo „zakusów całego świata" utrzymali Prusy. Wyniki plebiscytu przedstawiano jako dowód absurdalności polskich żądań i naszej megalomanii. Wielu ludzi miało do Polski pretensje, że nie umiała okazać swej siły i udowodnić, że jej na Prusach zależy...

Niemcom walącym milionami na „Osthilfe" i zapewniających o swej miłości do Prus, udowadniających przykładami jak sobie je cenią, łatwo było podnosić swą wartość, jako gospodarzy, a obniżać siłę atrakcyjną polskości. W ten sposób znana nam już akcja protekcyjna i jej cele gospodarcze oraz polityczne przyczyniały się walnie do wytworzenia takich napięć szowinizmu, że dla przeciętnego mieszkańca Prus niemieckie ujęcie zjawisk było zawsze najlepsze i najobiektywniejsze. Tu nie raziło nic. Nawet to, że w końcu ścigano polskość nie tylko w kościołach, ale i na cmentarzach, wdzierano się pod dachy domów prywatnych w stosunki rodzinne. Fala podmywała brzeg coraz dalej i głębiej. Pokolenia stawały się w coraz większym stopniu „wymierające". Co rok wychodziła ze szkół młodzież, wyprana w wysokiej mierze z polskości, zarażona kultem niemczyzny i histerią antypolską. Zagęszczała się atmosfera pogardy i nienawiści. Młodzież patrzyła krzywym okiem na irytujące praktyki starych, które drażniły zacofaniem i bezsensem. Drwiła z nich otwarcie szkoła, wójt, policjant, plejada renegatów. Wszystko co miało jakąś cenę, jakiś obieg w stosunkach z ludźmi, jakieś cechy przydatności, leżało daleko od pogardzanych szczątków polszczyzny. W ostatnich czasach także „wymieranie" nie było łatwe.

Zresztą system był łaskawy dla tuziemców i za cenę lojalności nie odmawiał „wymierającym" prawa do swych danajskich darów. Między domem mazurskim i warmijskim a „pomocą wschodnią" nie leżała bynajmniej jakaś granica, przekraczalna tylko za paszportem odstępstwa. Zasada „dobrowolności" mogła tu być zupełnie dobrze utrzymana. To była pułapka, w którą wchodziło się bez zobowiązania z tytułu obywatelstwa. Dopiero spłata rat, procentów czy kwestia moratoriów pociągały za sobą uległość wobec perswazji i wytyków, wpadnięcie w wiry niemczyzny.

Zagubienie ludności tubylczej w labiryncie niemieckich usiłowań obrazuje najlepiej wyjątek z listu do szczycieńskiego „Mazura", pisany w r. 1932:

„Chciałbym parę rzeczy napisać do Waju. Ja dostaję często od mego sąsiada Wasz blat „Mazur" i z tego widzę, że Wy piszeta „Bóg z nami". Ale jak ja widzę, to Wy nie robicie po Bogu, Bo to:

1) Stare przysłowie mówi, że to lichy ptak, kiej w swe gniazdo .... Tak też to i Waju. Mieszkata na Mazurach pod niemieckim rządem, a szpecita i ganita, a Polskę wysławiata. To ja myślę, że komu jest poddany, to i jego pieśni będzie śpiewał. etc."

Tyle uzyskali Niemcy przez swoje wysiłki. Być lojalnym znaczyło żyć „po Bogu". Polskość nosiła piętno owocu zakazanego, przewrotnych i upokarzających praktyk.

Żeby być Polakiem, takim, jak to sobie życzy tego wielu przybyszów, trzeba było wielkiej pewności siebie, siły przekonań i zaparcia, żeby nie rzec heroizmu. Między Polską a Prusami wykopana była przepaść napełniona bagnem nawarstwionym, trującym wyziewami. Polak w Prusach był czarnym punktem tarczy, w który miecono wszystkie pociski. Był to w całym tego słowa znaczeniu „wywrotowiec" i czarna owca, przypuszczalnie polski sprzedawczyk i forpoczta „najazdu". Walczyć z nim było dobrym prawem władz. Wyręczał je często samosąd szowinisty, aż gdy trzeba było pozory zachowywano przy pomocy prowokacji czy mistyfikacji. Mimo wszystko władze przebierały w środkach, tj. oskarżały „wywrotowca" o pospolite przestępstwo lub sabotaż. Synowie Linki aby dostać się do więzienia na 10 lat musieli awansować na... kłusowników. Gdy wybuchła wojna posądzono jednego z nich o sabotaż (podcięcie słupów elektryfikacyjnych) i za to zapłacił życiem.

Dziwni tu żyli ludzie. Imienni i bezimienni głosiciele Polski, czasem tak promiennej i mesjańskiej, tak wysublimowanej z wszelkich wad i słabości, że usuwała w kąt wszystkie niemieckie wcielenia dobrobytu, porządku i szufladkowego ładu, albo naciskany przez sprzeczności lud, który trwał przy „gadce" i obyczaju i nie bardzo wierzył w to, co mu tłoczono w głowę od kolebki do „wymierania". Na wszelki wypadek żył tylko „po Bogu" i nie wpadał w ciemne odmęty polszczyzny. Walczyli z nim Niemcy perfidną bronią i nędznym podstępem, a on nie przestał być brzegiem, powstrzymującym zapędy morza. Choć to często był i wstyd, tak opierać się fali i trwać z uporem na straconej pozycji bez oparcia i nadziei.

Pierwsze chwile na ziemi pruskiej są pełne niepokoju i nieoczekiwanych komplikacji. Mówi pogranicze, mówi kraj, mówią ruiny, mówią ludzie, a każde zdanie jest problemem. Napiętrzyli ich tu Niemcy w ciągu wieków tyle, że mimo kataklizmu wojny, wiele jeszcze pęt krępuje życie tego kraju. Pęta nałożone na dusze ludzkie są szczególnie dokuczliwe dla tych, którzy je noszą jak i dla tych którzy je dostrzegają. W pierwszym odruchu chciałoby się z miłością schylić nad nimi i rozwikłać każde po kolei, zwolna i pieczołowicie, opatrzeć rany i pomóc im się zabliznić. Ale dziś nie jest to już tak proste jak kilkanaście miesięcy temu.

Prusy nie są dziś miejscem niefrasobliwego obcowania z ludźmi i malowanką z prasowego reportażu. Tu minowano od wieków, jak na wojnie, tworzono zasadzki i labirynty, w których polskość miała się zagubić i uschnąć. Szczególnie dobrze wiedzą o tym Mazurzy i Warmiacy. Kiedy przyszła Polska, ludzie ci przeszli w dużej swej masie wstrząs, jakiego nie było w stanie zatrzeć nawet inferno przeżyć. Polskość ich nagle zaczęła się domagać swych praw. Polska stała się jedynym oparciem wśród walącego się porządku świata. Nawet dzieci, które nigdy po polsku nie mówiły z niezwykłą łatwością porzuciły niemczyznę. Okazało się, że wbrew niemieckim racjom, serca ich czekały na Polskę, ze strachem i drżeniem, ale czekały. Dziś oczy warmijskie i mazurskie pełne są niesfałszowanego tragizmu. Do tego trzeba będzie jeszcze nie raz wrócić. Jest to tragizm głęboko człowieczy, który przeniknąć potrafi tylko prawdziwie ludzkie serce. Tragizm dusz uciemiężonych.

Oczy tubylcze wpijają się w wzrok przybysza i szukają długo i natrętnie. Dla tych, którzy nie czują w sobie człowieczeństwa, musi to być operacją nie koniecznie przyjemną. Bo tego właśnie szukają te oczy. Tylko współczucie i zrozumienie może zbudzić w nich iskrę nadziei, bo są ślady, że w ich tragiźmie i bratnia ręka ma swój niesławny udział. Miast ludzi wysokiej klasy, których zadaniem byłoby dokonać cudu zespolenia z ojczyzną oderwanych przed wiekami od pnia narodu rodaków, działali tu burzyciele obok budowniczych.

Ankieta „Odry"

Pisarze polscy na Ziemiach Odzyskanych

Wacław Mrozowski

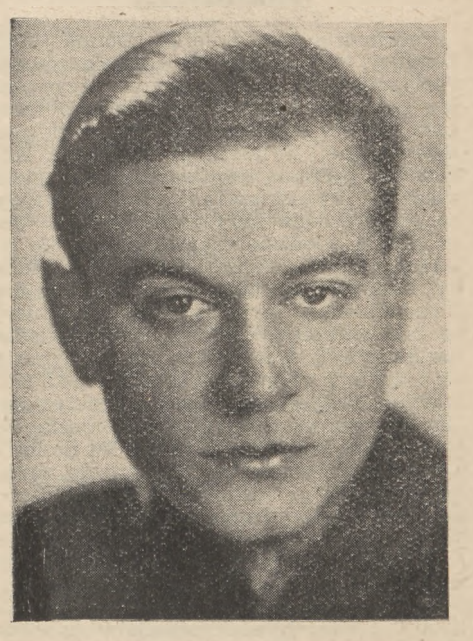

1. Będąc tu w lipcu ub. roku w delegacji służbowej, zetknąłem się z pierwszymi pionierami polskości na tych ziemiach, którzy bezpośrednio po ich zajęciu organizowali tu administrację polską.

Serdeczne przyjęcie jakiego od nich doznałem, długie letnie wieczory spędzone na gawędach i radości z odzyskania tych ziem, troska o ich jak najszybsze zagospodarowanie, ogrom pracy na każdym odcinku jaki czekał na każdego z nas, urzekające piękno okolic, w jakich się znalazłem (ziemia Wałbrzyska) wreszcie bezdomność po spopielonej Warszawie i pragnienie założenia nowego gniazda po tułaczce okupacji, zniewoliły do powrotu po miesiącu i osiedlenia się na stałe.

2. Planów literackich mnóstwo, gorzej z ich realizacją. A ziemia wałbrzyska wyciąga ręce do pisarzy i artystów, a pięknem i bogactwem zaprasza do najazdu. Mam gotowy do druku tom wierszy (przeważnie lirycznych), którego tytułu jeszcze nie ustaliłem, ilustrowany przez inż. arch. W. Reiffa, tom który nie doczeka się pewnie wydania w najbliższym czasie, podobnie jak dwa tomy wierszy ostatniego dziesięciolecia zamrożone w tece. (Ostatni tom wydałem w 1936 r.).

W najbliższych dniach zaczynam wydawać z upoważnienia tutejszych Władz tygodnik p. t. „Wałbrzych", który będzie ilustracją dotychczasowych osiągnięć w dziedzinie gospodarczej przede wszystkim, oraz informatorem do pewnego stopnia o tym, co się robi w tej chwili. Pismo obliczone na razie na ziemię wałbrzyską może uda się z czasem przekształcić na organ o szerszym zasięgu.

Marzeniem moim jest realizacja książki, której niedoścignionym wzorem będzie przedwojenny cykl wydawnictw Wagnera „Cuda Polski", książki, która już jest zaprojektowana (praca wspólna razem z kilkoma fachowcami, którzy palą się do tego) i którą ruszyłoby się z miejsca, gdyby były widoki na znalezienie wydawcy. (Na razie mamy tylko zdjęcia, ale i to jest ważne). To jest sfera projektów. Pasjonująca.

3. Wydaje mi się, że nie ma u nas należytego zrozumienia roli pisarza i artysty, jaką może on na tych ziemiach odegrać.

Odpowiednia akcja Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Min. Ziem Odzyskanych, zapewniająca ludziom pióra warunki i egzystencję nie gorszą aniżeli mają oni w centralnej Polsce, należyta opieka ze strony tutejszych władz administracyjnych, większe zainteresowanie miejscowego społeczeństwa — odniosą napewno należyty skutek.

Dziesiątki książek napisano o okresie okupacji, książek o znaczeniu dokumentarnym (często wątpliwej jakości literackiej), ale zdaje mi się ani jednej książki dotyczącej problemów i organizacji życia Polaków na Dolnym Śląsku, a tymczasem Polska powinna go poznać z ust pisarza, którego spojrzenie jest inne i głos donioślejszy.

W wielu miejscach odpadły też kunsztowne gzymsy. Mimo wszystko — wrażenie, jakie one sprawiają na znawcy i na każdym, kto ma tylko wrodzone poczucie estetyki — jest bardzo mocne.

Katedra jest trzynawowym gotyckim budynkiem, pochodzącym z XIII i XIV wieku, z przepięknym portalem, przypominającym katedrę w Mediolanie czy w Kolonii. Ma cztery wieże, z których dwie zostały wykończone i poprowadzone wzwyż, dwie dalsze natomiast zachowały charakter wież obronnych. Fundatorami katedry wrocławskiej byli biskupi polscy, m. in. słynny Nanker. Do budynku głównego w wiekach piętnastym, siedemnastym i osiemnastym wybudowano z boku kaplice, stawiane bądź kosztem dostojników kościelnych, bądź świeckich. Stąd mieszanina stylów, nad którymi, jak zresztą w szeregu innych wypadkach we Wrocławiu — na zewnątrz góruje gotyk, wewnątrz natomiast barok, z domieszką tu i ówdzie rokoka.

Nawa środkowa katedry właściwie nie istnieje. W nawach bocznych lepiej czy gorzej zachowały się ołtarze, nagrobki, oraz przylegające, niczym szczególnym się nie wyróżniające kaplice.

Dopiero one trzy sąsiadujące ze sobą, o których już wspomniałem, a do których można się dostać poprzez drewniane przepierzenie, sprawiają ową miłą niespodziankę.

Dobrze jest przy zwiedzaniu tej partii katedry posłuchać starego kościelnego, który bedekerowskim stylem i patosem opowiada wiele ciekawych szczegółów. Nie wszystkie one prawdziwe — czasem zabawne w swej naiwności. Nie bardzo np. z naszymi pojęciami godzi się upodobanie przewodnika, który z lubością i dokładnością informuje, ile kosztował każdy ze szczegółów architektonicznych oraz ile jest dziś wart.

Pierwsza z kaplic, t. zw. „Kurfürstenkapelle" ufundowana została przez biskupa Franciszka Ludwika, który zarazem nosił tytuł Kurfürsta z Trieru. Budowniczy jej, Fischer von Erlach, otrzymał po wykonaniu zadania 200.000 florenów. Nakrywa tę budowlę owalna, bogato złocona i freskami pędzla Carlo Carlone ozdobiona kopuła, świetnie do ostatniego szczegółu zachowana. W obramieniu sześciu kolumn stoi ołtarz marmurowy z postaciami więcej niż normalnej wielkości Mojżesza i Arona — po bokach. Kilka olbrzymich malowideł niepośledniego pędzla, rzeźby marmurowe alegoryczne oraz sztukaterie pokrywają ściany, ożywiają je bogate pilastry i kapitale. W całości dominuje złoto—błękitny kolor. Niepoślednie znaczenie ma też harmonijne rozwiązanie zagadnień przestrzeni. Ale już szczery zachwyt muszą wzbudzić w każdym przybyszu przecudne ażurowe, koronkowatej roboty, ręcznie kute drzwi żelazne, szczyt precyzji i znakomitego smaku. Nie wiem doprawdy, czy „cicerone" nasz przesadza, twierdząc, że na wykonanie owych drzwi, potrzebował artysta kilkudziesięciu lat. Posadzka składa się z płyt alabastrowych, łączonych mosiężnymi prętami.

W kaplicy przyległej, zwanej „małym chórem" lub kaplicą Marii Panny, skromniejszej, jeśli chodzi o koloryt, uwagę zwraca przede wszystkim stojący po środku marmurowy sarkofag założyciela jej, biskupa Przecława z Pogorzeli. Ale największym klejnotem tej kaplicy jest płaskorzeźba, wykonana w bronzie przez znakomitego norymberskiego mistrza, Piotra Vischer'a, a przedstawiająca biskupa Jana Roth'a (zm. 1506), w pełnym ornacie, stojącego na lwie. Kościelny twierdzi, że amerykańscy znawcy zabytków kulturalnych oferowali przed wojną 50 milionów marek, w wypadku, gdyby ten pomnik zechciano im sprzedać.

Parę nagrobków i epitafiów dalszych, wykonanych ku czci różnych dostojników, uzupełnia obraz kaplicy N. Panny Marii.

Trzecia z kolei kaplica, którą nazwałbym „włoską", poświęcona św. Elżbiecie, służy obecnie jako zakrystia. Powstała ona z końcem siedemnastego wieku, a twórcą jej był Włoch Giacomo Scanzi. I tu znów, zaraz u wejścia podziw budzą dwuskrzydłowe przejrzyste drzwi żelazne, także misternej roboty. Kaplica owa ma kształt prostokątny, wieńczy ją owalna kopuła. Ściany w znacznej części wyłożone są śląskim marmurem, bardzo bogato i wprost rozrzutnie ozdobione freskami, sztukaterią o najrozmaitszych motywach. W absydzie ołtarzowej, na czterech korynckich kolumnach wspiera się rodzaj baldachimu, pod którym stoi posąg św. Elżbiety, przedstawionej w habicie franciszkańskim. U jej stóp, niejako wznosząc świętą do niebios, widzimy szereg aniołków, trzymających księgę życia, koronę, chleb i sakiewkę, — symbole książęcej godności pa-

(Dokończenie na stronie 6)

Listy z Polskiego Zachodu

Spotkania w Karkonoszach

Jesień, 1946 r.

KRÓLEWNA ŚNIEŻKA I ZGUBIONY PANTOFELEK

Podchodząc na Śnieżkę Doliną Małej Łomnicy turysta doznaje uczucia zawodu. Poetyczne imię tego szczytu przywołuje wspomnienia bajki i rysunkowego filmu, każe myśleć o istocie smukłej, zwiewnej, nieosiągalnej. Tymczasem Śnieżka z Karkonoszy podobną jest raczej do starej wiedźmy, której szarą, kamienną twarz poryły brózdami turystyczne szlaki. Jest to zresztą wiedźma niegroźna, chętnie nastawiająca swe olbrzymie cielsko pod ludzkie budowle, nieczuła na ucisk stóp niezliczonej rzeszy turystów. Pasy transmisyjne białych serpentyn wyrzucają nieustannie na szczyty ludzkie mrowie, zatrzymując się jedynie w czasie ulewnego deszczu. Ktokolwiek znalazł się w polu magnetycznym Gór Olbrzymich musi „zdobyć" Śnieżkę, bez tego nijako byłoby mu wrócić ku dolinom. Toteż od najmłodszych harcerzy do najdostojniejszych przedstawicieli handlu i rzemiosła wszystko, co nogami poruszać może, sunie w góry. Niejednokrotnie widzieć można obok siebie idące panie w minimalnych kostiumach i w czarnych sukniach jedwabnych, obywateli w szortach obok poważnych, spoconych nieszczęśników w ciemnym ubraniu, obarczonych jeszcze płaszczem, kapeluszem i teczką. Największe jednak dramaty rozgrywają się przyziemnie, to jest w sferze obuwia. Pantofle nocne, sznurkowce i korki nie bronią nienawykłych stóp przeciwko złośliwościom ostrych kamieni, a górskie buty jakże przeszkadzają na szczycie Śnieżki, gdzie w Domu Śląskim oczekuje na turystów dancing. Doświadczeńsze turystki biorą więc obuwie zapasowe do tańca i wymachują nim przy chodzeniu tak energicznie, że czasem pantofelek lotem ptaka sfruwa daleko między głazy i niesposób go już odnaleźć..

Towarzystwo, które wchodzi na Śnieżkę, przede wszystkim chce tam dobrze zjeść, wypić i potańczyć, jednym słowem zakosztować maximum górskich przyjemności. Zarząd Śląskiego Domu zaspakaja w zupełności te potrzeby. Gorzej jest z noclegiem. W nieposprzątanych pokojach czekają nagie łóżka. Ledwie co piąty gość ma prawo do poduszki, co ósmy do koca, co dziesiąty do pierzyny. Ale jeżeli turysta nie ma czym nakryć się w nocy, tym chętniej w dzień sam pokrywa napisami wszystko, co mu wpadnie pod rękę. Na ścianach i drzwiach, na skałach i drzewach uwiecznia swoje nazwisko i najdziwaczniejsze aforyzmy ołówkiem, węglem, nożem. Gdyby mógł — pisałby na wodzie i na chmurach. W rezultacie po jednym sezonie turystycznym zapisano wszelkie dostępne płaszczyzny. Kto zapobiegnie zaśmiecaniu gór, zasypywanych codziennie takim mnóstwem papierów, unrrowskich puszek i wszelakich odpadków.

Po tańcach do północy mało kto wstaje aby obejrzeć Śnieżkę o wschodzie słońca. Jest to jedyna chwila, kiedy zaklęta królewna wyzwala się z postaci czarownicy, prostuje granatową kibić na tle różanego nieba i zarzuca na głowę biały welon mgły, którego końce sięgają aż w doliny. Ciemne wzgórza leśne chylą się w pokłonie, strumyk dzwoni jak na podniesienie, wiatr w hołdzie znosi wonie i siana i żywicy.

W przejrzystym powietrzu poranka wzrok sięga aż po wzgórza Wałbrzyskie. Zachwyt onieśmiela i nasyca szczęściem.

WIEŻA BABEL CZY PRZYLĄDEK DOBREJ NADZIEI?

Grzbietami Gór Olbrzymich od Śnieżki do Szrenicy chodzą przeważnie Czesi. Polakom zazwyczaj wystarcza zdobycie jednego szczytu, nie mają ochoty na długą, mozolną wędrówkę, mimo że dopiero ona daje właściwe pojęcie o urokach Karkonoszy. Są to stare góry, wygładzone deszczem i wiatrami. W krajobrazie nie ma ostrych cięć i gwałtownych kreśleń. Wszelkie linie spływają łagodnie ku rozległym widnokręgom. Szlaki turystyczne wywijają się jak w kontredansie, to skłaniają się dostojnie przed wielobarwną doliną, to wznosząc zachwycone oczy ku błękitnym czeskim górom.

Czesi chodzą gromadnie, całymi rodzinami, zabierając czasem ze sobą nawet kilkuletnie maleństwa. W każdej grupie musi być harmonia, mandolina, albo przynajmniej ustna harmonijka. Śpiewają uśmiechając się nawet do nieznajomych. Spotkanemu turyście mówią „Dobry den" i skwapliwie udzielają objaśnień, jeśli tylko o nie kto zapyta.

Ośrodkiem fotoamatorskich zainteresowań są przede wszystkim Śnieżne Jamy, skaliste urwiska tak niezwykłe przy łagodnych stokach jak rybie skrzela przy tułowiu ssaka. Nad poszarpanymi zwaliskami skał Polacy marzą o Tatrach, Czesi fotografują się i polują na amerykańskie papierosy.

Pięciu oficerów czeskich zapytuje nas o Chesterfieldy. Ofiarujemy im Bałtyki. Chcą się odwdzięczyć sardynkami i czekoladą, naturalnie z... UNRR'y. Nawiązuje się rozmowa. Oficerowie są młodymi doktorami praw, medycyny i filozofii, wziętymi okresowo do służby wojskowej. Każdy z nich pragnie się z nami porozumieć w innym języku: angielskim, francuskim, rosyjskim — nawet po łacinie. Ostatecznie jednak zwracamy się do nich po polsku, oni odpowiadają po czesku i rozumiemy się doskonale.

O Polsce mówią serdecznie, zwłaszcza o morzu i Gdyni, znanej im jeszcze z przedwojennych wycieczek. Zachwycają się Polkami, na których cześć doktór filozofii deklamuje najpiękniejsze urywki z Owidiusza.

Czytali Mickiewicza, Sienkiewicza (ach, jakie to piękne!) i wielu innych autorów, których dzieła tłumaczono na czeski. Wykazują taką znajomość naszej muzyki, plastyki, nie mówiąc już o naszym sporcie, że ogarnia nas lekkie zawstydzenie, bo ani rusz nie możemy się odwzajemnić równą wiedzą o czeskiej sztuce i kulturze.

— U nas cała inteligencja pragnie zbliżenia z Polską — oświadczają poważnie. — Ciekawi nas wszystko, co dotyczy waszego kraju.

Zapraszają nas do Pragi. Wymieniamy adresy. Wreszcie fotografujemy się razem na tle schroniska o wysokiej wieży. Ktoś robi aluzję do wieży Babel. Doktór praw odrzuca to porównanie, jako symbol niezgody i waśni.

— Nazwijmy ją raczej Przylądkiem Dobrej Nadziei, przy którym spotykają się turyści z obu stron granicy — mówi podając nam rękę na pożegnanie.

RADIOAKTYWNE ŹRÓDŁO NAD ŁABSKIM SZCZYTEM

W Karkonoszach wybudowano takie mnóstwo schronisk, że wzrok turysty nie może przesunąć się swobodnie po kilku szczytach, nie natykając się na jakąś budowlę kształtem i rozmiarami przypominającą hotel. Grzbiety Gór Olbrzymich stanowią bowiem idealne tereny narciarskie, w pełni doceniane przez sportowców, którzy całe zimowe tygodnie spędzali w doskonale zagospodarowanych schroniskach. Niestety w 1945 i 1946 r. przeszły tędy hordy Tatarów, czyli t. zw. szabrowników, niszcząc i wynosząc wszystko, co się dało. W poszukiwaniu skarbów odrywano szalowania ścian i deski z podłóg, rozbijano meble. Niewprawne ręce wyciągnęły na brzeg Śnieżnych Jam wielkie skrzydło fortepianu, który runął w przepaść. Na rozbite klawisze spada nieustającym deszczem pierze z rozprutych poduszek i piernatów, pierze, co jak wyrzut sumienia nie ginie, ale za każdym podmuchem wiatru znowu się podnosi.

Niektóre schroniska są zamknięte, inne niszczeją dalej nieobjęte niczyją opieką, jak np. schronisko na Wysokim Kamieniu, które przejmującym jękiem otwartych drzwi skarży się na swe opuszczenie.

Po kilkugodzinnej wędrówce turysta nie znajduje nawet wody w martwych domach górskich, a widok ich zniszczenia osiada mu na sercu warstwą czarnej sadzy. Toteż znajdując pod Łabskim Szczytem dobrze zagospodarowane schronisko Warszawskiego Klubu Narciarskiego i serdeczne przyjęcie ze strony jego gospodarzy, wędrowiec odkrywa źródło optymizmu.

Prawda, że czynny już jest i Dom Śląski i kilka innych budowli w pobliżu Śnieżki. Ale dopiero tu, pod Łabskim Szczytem, odnajdujemy ową tradycyjną atmosferę naszych tatrzańskich schronisk, jakiej nigdy nie potrafi stworzyć zarząd górskiego hotelu mający na uwadze przede wszystkim jego opłacalność. Dopiero tutaj turysta czuje się u siebie, umiłowanie gór czyni go członkiem wielkiej rodziny ludzi o sercu otwartym szeroko na powiew piękna, a przeto wieczyście młodym i radosnym.

GDZIE SĄ NASI HISTORYCY SZTUKI

Mało który zamek ucieleśnia młodzieńcze wyobrażenia o niezdobytej twierdzy, jak Chojnasty — skamieniała ballada średniowieczna. Oparty o skalne ściany Doliny Piekielnej, wpatrzony w szczyty Karkonoszy mówi o historii — oddycha poezją. Nie legendy podawane w przewodnikach, ale urok dzikiego wzgórza i widok omglonych gór omotują wyobraźnię babim latem marzeń.

Mrowie ludzkie pracowicie wspina się ku ruinom, oczarowane atmosferą polskości jaka je otacza. Na Dolnym Śląsku ludzie tak bardzo spragnieni są polskości, że cieszą się każdym jej znakiem, każdą pamiątką.

Niestety, w wydanych dotychczas przewodnikach, autorzy korzystający przeważnie ze źródeł niemieckich mało podają wiadomości o polskich zabytkach na Śląsku. I dopiero w wędrówkach po małych miasteczkach nieraz przypadkowo odkrywa się kościoły, domy, kapliczki i obrazy sięgające polskiej tradycji, opatrzone polskimi napisami, opromienione polską legendą.

Inwentaryzacja tych zabytków nie jest zagadnieniem interesującym wyłącznie historyków sztuki: jest ona żywą potrzebą mieszkańców Dolnego Śląska, których każdy odnaleziony ślad polskości ściślej łączy z tą ziemią, wymazując z pamięci okres niemieckiej przemocy. Jest ona potrzebą zarówno intelektualistów jak i robotników. Kolejarze, włókiennicy, drukarze przybyli w Karkonosze na wczasy robotnicze najstaranniej zwiedzają wszystko, co tylko widzieć zaleca przewodnik po Jeleniej Górze i okolicy. W kościołach Jeleniej Góry, w Bolkowie, Henrykowie i Chojnastach spotykałem się z wieloma robotnikami. Nigdy niesyci piękna i polskości tych ziem przeżywali je mocno i radośnie.

Historycy sztuki, spisujący najdrobniejsze kamyki Krakowa nie mają widocznie czasu na odkrywcze wędrówki po Dolnym Śląsku, którego mieszkańcy czekają z niecierpliwością na popularną, niedrogą monografię o zabytkach swej ziemi.

(Dokończenie ze strony 5-tej)

tronki. Obok, w oparciu o kolumny, stoją dwa, naturalnej wielkości anioły, tak świetnie wykonane, że zdaje się, iż widzimy je w locie. Tą samą lekkością i niewypowiedzianą gracją, odznacza się zresztą także i figura św. Elżbiety, wykuta w kararyjskim marmurze przez Ercola Ferrata, ucznia, jak niektórzy twierdzą — Berniniego. Freski w kopule tej kaplicy są dziełem wspomnianego już Giacomo Scanzi (czasem pisane Scianzi). Duże malowidła ścienne przedstawiają życie, śmierć i chwałę św. Elżbiety. I jeszcze jeden Włoch przyczynił się do wywołania efektu południowej lekkości i jasności, mianowicie Domenico Guidi (1628—1701), wykonując umieszczone naprzeciw ołtarza epitafium ku czci kardynała Fryderyka von Hessen Darmstadt, fundatora kaplicy, pochodzącego z rodziny św. Elżbiety. Wspomniane epitafium oraz pomnik kardynała, na który składa się cały szereg alegorycznych postaci, są ze śnieżno białego, po większej części także kararyjskiego marmuru. Między innymi bardzo plastycznie przedstawione są tu postacie symboliczne: Prawda i Wieczność.

Przed opuszczeniem katedry warto jeszcze obejrzeć jedno z arcydzieł sztuki rzeźbiarskiej, jakim bezsprzecznie jest posąg Madonny z dzieciątkiem Jezus na ręku, wykonany w białym marmurze w Rzymie w 1851 r., a naśladujący postacie Rafaela.

Niedaleki podwójny kościół św. Krzyża i św. Bartłomieja, powstał dzięki pogodzeniu się ze sobą skłóconych Henryka IV Probusa oraz Biskupa Tomasza Zaremby (1267—1290). W styczniu 1288 r. postanowiono budowę świątyni pod wezwaniem św. Bartłomieja. Ponieważ jednak w czasie robót wykopano korzeń w kształcie krzyża, fundator postanowił poświęcić kościół św. Krzyżowi. Lecz aby także i dawnego postanowienia nie cofać, zdecydowano, że będzie on miał dwie kondygnacje. Dolną, poświęconą św. Bartłomiejowi i górną, św. Krzyżowi. W kościele tym, poza swą oryginalną budową i wysoką strzelistą, minarety przypominającą wieżą, niczym specjalnym się nie wyróżniającym, pochowany został Henryk IV Probus, — a jego dzieło i grób, to jeszcze jeden dowód polskości Wrocławia. Dziś świątynia ta, wskutek wybuchu bomby, jaka przebiła sklepienie i rozerwała się wewnątrz gmachu, rozsadzając posadzkę górnego kościoła a sufit dolnego, — częściowo w ruinie. Ogólny jednak stan zabytku tego rodzaju, że nie grozi mu zagłada. Palącą jest tylko kwestia pokrycia.

Jeśli szukamy polskości — to nie znajdziemy jej w kościołach, położonych w centrum dzisiejszego Wrocławia, więc ani u św. Elżbiety, ani u św. Doroty, niedawno prawie całkowicie odnowionym. Nie znaczy to jednak, aby nie zasługiwały one na zajęcie się nimi w innych ramach.

Dziś zajrzyjmy do jeszcze jednej ruiny, do świątyni podominikańskiej, z której, jak to było i w wypadkach poprzednich — nie wiele pozostało całego. Sklepienie nad środkową nawą nie istnieje. Ale znów jak gdyby cudem — to, co w niej było polskiego — ocalało, jak w kościele na Piaskach czy w katedrze. Zachowała się tu mianowicie w dobrym względnie stanie także barokowa kaplica z grobem św. Czesława, ukończona w 1718 r. Kopuła (15 m wysokości), ozdobiona jest m. in. malowidłami, przedstawiającymi sceny z życia patrona kaplicy, ściany wyłożone są dokoła marmurem. W nyży o muszlowym sklepieniu, stoi naturalnej wielkości statua św. Czesława. Na marmurowych spiralach jako cokołach, u stóp świętego, klęczą dwa aniołki z girlandami kwiatów na czole, poniżej umieszczone są popiersia św. Tomasza z Akwinu i Piotra z Werony. Południową ścianę kaplicy zdobią dwie alabastrowe płaskorzeźby. Inne figury są symbolami Wiary i Nadziei. Obok złamanego miecza klęczy anioł, kruszący w ręku półksiężyc, znak potęgi Mongołów.

Najpiękniejszą wszakże częścią kaplicy jest bezwątpienia ołtarz, z umieszczonym w nim sarkofagiem, pokrytym 16 medalionami, przedstawiającymi szereg scen z życia św. Czesława, a m. in.: św. Dominik przyjmuje św. Czesława do swojego zgromadzenia, radni Wrocławia witają św. Czesława przed bramami miasta, biskup wrocławski wręcza mu klucze od kościoła św. Wojciecha (Dominikańskiego), św. Czesław ożywia zmarłych, chrzci tatarów.

Obejrzawszy szereg innych malowideł i rzeźb, bogato zdobiących kaplicę, warto jeszcze zwrócić uwagę na wspaniałe, dużej artystycznej wartości, lane z mosiądzu (wagi 8,5 centnarów) epitafium ku czci św. Czesława, z dokładnym opisem łacińskim jego życia. Ponad napisem umieszczony jest herb rodziny Odrowąż.

Niemiecki autor broszury o św. Czesławie, napisanej w 1909 r., bardzo solidnie i bezstronnie, kończy ją uwagą, że kościół i kaplica znajdują się „in höchst unwürdigem Zustande", skarży się na brak zainteresowania zabytkiem ze strony kompetentnych władz. Ze strony polskiej na szczęście zainteresowanie się wzmaga.

NOWE OBLICZE LICZYRZEPY

Z Chojnast leśna droga opada łukiem ku Matejkowicom (Przesiece), najpiękniejszej dolinie w Karkonoszach. W liniach widnokręgu, w barwach gór i łąk, w jednostajnym bulgotaniu strumienia istnieje harmonia doskonała, spokój silniejszy nad słońce i burze.

Pogoda zmienia się prędzej niż dekoracje w teatrze. Z pogodnego nieboskłonu wiatr zgarnia talię chmur, aby ją za chwilę rozłożyć na niebie ciemnym pasjansem i zagniewany niepowodzeniem ciska nimi o ziemię. Deszcz spada na dolinę z niszczycielską siłą.

Chronimy się w przyleśnym szałasie. Stara kobieta z białą opaską na ramieniu śpiesznie zagania kozy i podchodzi ku nam. Wita nas uroczą, dziwną polszczyzną. Mieszka tu od urodzenia, stara się obecnie o obywatelstwo polskie. Zdjęła z głowy mokrą chustkę, z luźnego węzła siwe włosy rozsypały się na kark. Twarz połyskuje od deszczu, wyrzeźbiona misternie przez czas. W uśmiechu jej gorycz poznania stapia się z wiarą w istnienie rzeczy niepoznawalnych. Idące niebem chmury odbijają się w jej oczach — ciemnoszarych, perłowych, groźniebłękitnych.

Imię Liczyrzepy spływa z jej warg nieprzyzywane przez nikogo, i po raz pierwszy opowieść o nim, tak płaska i obca w relacji Sykulskiego, ożywa dla mnie w strugach letniego deszczu poprzez słowa prawie równie stare jak legenda...

Liczyrzepa istniał na prawdę. Urodził się w rodzinie szewca, był jednak dzieckiem miłości jego żony do bogatego rycerza. Wiedziano o tym powszechnie, księża z ambon głosili potępienie, szewc nie szczędził żonie zasłużonych cięgów. Wtedy to kobieta przeklęła swego syna. Bóg jeden, któremu wszystkie dzieci są jednako miłe, aby nagrodzić chłopcu utratę matczynej miłości, dał mu moc nadprzyrodzoną. Zamiast

ją wyzyskać w dobrych celach Liczyrzepa począł się mścić na ludziach wyrządzając im wiele złego. Bóg ukarał go za to, przemieniając w wicher leśny, to znowu w deszcz, albo w spiekotę. I tak długo będzie pokutował, aż krzywd popełnionych nie zrównoważy pomocą udzieloną biednym. Złym ludziom wolno mu jednak dokuczyć. Dlatego od wieków Liczyrzepa pomaga biednym polskim chłopom, a złym, bogatym Niemcom różne robi psoty. Grafom i rycerzom niemieckim utrudniał przejazd przez góry, zrzucając na ich orszaki olbrzymie głazy, pnie drzew i lawiny śnieżne, kupców z drogi sprowadzał na manowce, Polakom jednak nie szkodził. Niemcy bali się wymówić jego imię. Dopiero przed tamtą wojną podnieśli się przeciw niemu. Zaczęli uczyć w szkole, że Liczyrzepy już nie ma, że umarł na pewno, pokazywali nawet jego grób. — Ale to nieprawda — kończy stara kobieta — Liczyrzepa żyje w Karkonoszach. Jakżeby mogły być inaczej?

Cichnie wiatr. Nieruchomieją drzewa w białych kołpakach mgły. Tęcza rozkwita ponad fioletowymi szczytami.

To Liczyrzepa godzi się z Bogiem...

SŁOWA ODMŁODZONE

Wracając z Karkonoszy do Wrocławia turysta poraz ostatni nasyca oczy widokiem szczytów ze wzniesienia nad Jelenią Górą. Przesłonięte błękitnym oddaleniem drażnią zmysły jak wspomnienie rozkoszy. Nagły zakręt szosy odsuwa je z pola widzenia. Zawiedziony wzrok jeszcze ich poszukuje.

I oto — rzecz dziwna — odnajduję ów przestrzenny błękit w oczach młodego chłopca, siedzącego naprzeciw mnie w ciężarówce PKS-u. Niecierpliwym uśmiechem zdradza chęć opowiadania. Wraca z Karkonoszy, przed tym spędził dziesięć dni nad morzem. Nie umie powstrzymać słów zachwytu.

Siedząca dokoła grupa pasażerów przysłuchuje się z uśmiechem wrażeniom z letniej włóczęgi. Patrzą na niego z wyżyn znajomości życia żałując jednocześnie utraconych zachwytów młodości.

Danuta Strzeszewska-Bieńkowska

Jeszcze o metodach

Nie przypuszczałem, że artykuł mój „Metody dobre i złe" zamieszczony w Nr 30 „Odry" wywoła reakcję nawet w łonie samej redakcji „Odry", która imputować mi zechce wiele wybaczający humanitaryzm, dodając że dopóki humanitaryzm ten „mieści się w granicach rozumu politycznego, może być przyjmowany bez zastrzeżeń", natomiast gorzej jest, „gdy przechodzi w egzaltację".

Nie kierowałem się w stosunku do Niemców żadnymi względami humanitarnymi, gdyż zdaję sobie sprawę, że nie można stosować do nich żadnego pobłażania i żadnej litości, ani tym bardziej wyrozumiałości. Dopóki naród niemiecki sam nie zdobędzie się na kolektywny wysiłek, zmierzający w kierunku całkowitego odrodzenia moralnego, trzeba go trzymać mocno i krótko, stosując tę samą metodę, którą stosowali Niemcy do narodów podbitych. Żaden naród nie jest wyjałowiony z uczuć ludzkich w tym stopniu, co Niemcy; żaden naród nie budzi w nas takiej odrazy, co Niemcy, zwłaszcza po wyczynach hitlerowskich zbrodniarzy. Jestem daleki na pewno od humanitaryzmu i nastroje, które zaczynają działać w strefach amerykańskiej i angielskiej z powodu jakichś wyimaginowanych przemian, zachodzących w narodzie niemieckim, nie mają na mnie wpływu w najmniejszym nawet stopniu. Nie wierzę i na razie nie widzę tej przemiany, o której trąbią Anglicy czy Amerykanie. Takie wypadki nie zachodzą z dnia na dzień! Jeśli istotnie nastąpi jakaś przemiana, to będzie ona przechodziła swoje koleje ewolucyjne i nie prędzej się to stanie, niż za wiele, wiele lat.

Niemniej chciałbym, aby odrodzenie narodu niemieckiego istotnie stało się faktem dokonanym, bo trudno jest żyć przecież z palcem na cynglu dzień i noc i jeśli pragnę z całego serca, aby uczucia rycerskości i godności ludzkiej obudziły się wreszcie w narodzie niemieckim, to tylko ze względu na nasz interes narodowy. Lepiej jest przecież mieć sąsiada ożywionego uczuciami mniejszej lub większej rycerskości, niźli jakiegoś opryszka, który każdej chwili może nam wpakować nóż w plecy.

Dopóki jestem człowiekiem, muszę wierzyć, że odrodzenie może nastąpić w najgorszym nawet narodzie, wyzutym z wszelkich cech ludzkich, i że wstrząs, jaki przeżywała niedawno cała ludzkość, musi przecież zostawić jakieś ślady na ludziach, którzy byli karmieni od wieków jadem nienawiści do innych narodów. Niemcy muszą przekreślić raz na zawsze całą politykę zaborczości, uprawianą od kilkuset lat przez swoich prowodyrów, muszą uznać zasadę wolności wszystkich ludów, wyplenić w sobie manię wyższości i okazać dobrą wolę w stosunku do wszystkich bez wyjątku narodów. Wiem, że to nie nastąpi zaraz, nie widzę tego jeszcze w narodzie niemieckim, który zdobywa się raptem na jakiegoś Schumachera, będącego tylko odmianą Hitlera, ale wierzę, że to musi nastąpić. Gdybym nie miał tej wiary w odrodzenie, jakiż urok przedstawiałoby życie człowiecze, skoro zbrodnia i nienawiść miałyby panować permanentnie w stosunkach między narodami i ludźmi.

Piszę o tym wszystkim, aby umożliwić redakcji i czytelnikom „Odry" zrozumienie mego w sprawie niemieckiej stanowiska, które na pewno jest dalekie od jakiegoś humanitaryzmu programowego. Przy sposobności chciałbym na tym miejscu poruszyć mimochodem pewną sprawę. Ktoś życzliwy dostarczył mi zdobytego przypadkiem brulionu artykułu nieznanego autora, który wybierając ze wspomnianego powyżej artykułu mego odpowiednio dobrane i zestawione cytaty, pragnął wywołać w czytelniku wrażenie, że dlatego występuję z projektem pozostawienia w Polsce artysty malarza niemieckiego, Eryka Fuchsa, ponieważ żywię w ogóle do Niemców sympatię i życzliwość. Nie mam zamiaru bawić się w dyskusję z kimś, kto podobnymi metodami pragnie walczyć ze mną, gdyż dla tego rodzaju metod znajduję tylko jedno skromne określenie: „łajdactwo!"

Wracając jeszcze do sprawy Eryka Fuchsa, chcę zaznaczyć, że Fuchs nie jest dla mnie wcale wzorowym Niemcem, on jest tylko wzorowym człowiekiem i zdaję sobie jasno sprawę, że Polakiem nigdy nie będzie. Nawet trudno mi wymagać, aby taka metamorfoza kiedykolwiek nastąpiła. Żywię po prostu do niego czucie człowieka wrażliwego na nieszczęście i wydaje mi się, że każdy na moim miejscu postąpiłby w ten sam sposób, widząc kalekę o bezwładnych nogach, a przytem artystę niecodziennej miary. Fuchs jest kronikarzem historii ziemi dolno-śląskiej, ale nie historii politycznej, tylko historii obyczajowej i zwyczajów ludu dolnośląskiego, który aczkolwiek znajdował się tyle lat pod butem niemieckim, zdołał zachować charakter własnej odrębności regionalnej. Nie jest ona prawdopodobnie ani polska, ani niemiecka, tylko po prostu dolno-śląska, tak jak np. Podhale, które odznacza się tą odrębnością regionalną w każdej dziedzinie. Oto — pobudki, jakimi kierowałem się wysuwając wniosek o nadanie obywatelstwa polskiego Erykowi Fuchsowi, z którego nie miałem zamiaru tworzyć Polaka, gdyż nie byłoby to ani wskazane ani potrzebne. Ot, jest fachowiec Niemiec, który chce kształcić młodzież naszą w technice rytowniczej. Niechaj to czyni, sztuka nasza tylko zyskać na tym może!

Edward Kozikowski

Notatnik Opolski

WYSTAWA MALARSTWA, RZEŹBY I GRAFIKI. Staraniem Referatu Kultury i Sztuki otwarto w Opolu ogólnośląską wystawę malarstwa, rzeźby i grafiki. Wystawa obejmuje 114 eksponatów i biorą w niej udział artyści z terenu województwa śląskiego i wrocławskiego. Między innymi nadesłali swe prace: Mrożewski Stefan, Marcinów, Mehl, Kowalczewska Jadwiga, Rak, Piwowarski Mroszczak, Łańcucki, Konieczny, Wyróżemski, Dzieślewski, Szyller, Zipper, Dawska, Wysocki, Szeligiewicz, Katarzyna Stochmal, Boczarowska, Zitzman, Langman, Olkuski, Teiwan, Chwierut, Adamski, Woźniakowski, Gawron, Lonicki, Kopczyński, Ciechanowicz, Serdinkow, Jaworski, Pilecki, Garycka, Dutkiewicz, Zaborowska, Freierowa, Feldmann i Dudziak.

TEATR: „W MAŁYM DOMKU", TAD. RITTNERA.

Jeszcze to — nie TO, na co czekamy, ale już dużo. Słowo brzmiało już pełniej — i wyraziściej zarysowuje się **prawda i artyzm wyrazu.** Teatr Staśki ma ambicje i uskrzydlają go aspiracje, ważne i godne pochwały. Wystawił „Hamleta", pokazał „Dom Kobiet", sięgnął do repertuaru, i dał nam ostatnio Rittnera. Nie sfałszowali aktorzy spuścizny smutnego poety: śmiech brzmiał, jak śmiech, łzy — były, jak łzy, i nie było próżni w ich słowach. W słowach była **szczerość i prawda przeżycia.** Obrazy miały wyraz mocny, siłą rittnerowskiej niemocy — sugestywny, i niosła się z tej maleńkiej sceny opolskiej przesmutna pieśń Rittnera akordami miłości, buntu i rozpaczy, niby chorał w pomrocznym kościele, żywy i straszny. Ale to tylko nieliczne sceny były tak dojrzałe, tak sugestywnie pełne i uroczne. Dwa tylko grały w nich głosy: **Brodzikowskiego** (męża) i **Łozińskiej** (żony). „Reszta" — wciąż pozostaje „resztą", nie wyzwoloną z maniery, teatralności i afektacji. Niechże się ocknie ta „reszta", niech dopomaga: wysiłkiem i pracą nad sobą, przy budowie prawdziwego teatru. **W. Hlouszek.**

„Odra" scala Ziemie Odzyskane z resztą Polski. Z „Odry" dowiesz się, czym są dla Polski Ziemie Odzyskane.

Sprawy teatru

„Żeglarz" Szaniawskiego w Krakowie

Rzecz dziwna. Zdawałoby się, że twórczy dorobek przodownika naszej współczesnej literatury dramatycznej jest skarbem, o uzyskanie którego walczą zawzięcie nasze, jakże ostatnio liczne, teatry. Że powstanie drogą niepisanej umowy: „rok Szaniawskiego". Że jedna i ta sama sztuka Szaniawskiego doczeka się równocześnie urzeczywistnienia w kilku teatrach. Tak na razie nie jest. Pocieszajmy się, że chyba rychło to nastąpi. A może nie zdajemy sobie sprawy z artystycznych i społecznych walorów, tkwiących w dziełach Szaniawskiego? Może nie rozumiemy, że mając do czynienia z pisarzem nawskroś oryginalnym, zadziwiającym głębią poglądów i swobodą, powinniśmy cenić to niezwyczajne zjawisko, powinniśmy wszcząć akcję, celem udostępnienia najszerszym masom takich pozycyj, jak „Dwa Teatry", „Adwokat i róże", „Ptak", „Żeglarz".

Otóż uniastowiony ostatnio Stary Teatr w Krakowie, na swej Małej Scenie ukazał nam ostatnio „Żeglarza", rzucając niejako wyzwanie innym teatrom, aby nareszcie zakrzątnęły się żwawo koło scenicznych materiałów Szaniawskiego. Dyr. Woźnik nie ociągał się, gdy szło o realizację „Żeglarza". Otwarł nim sezon i wygrał na całej linii. Artystycznie jest to zwycięstwo, potwierdzające zamierzenia Starego Teatru, mające na celu posługiwanie się współczesnym polskim repertuarem dramatycznym.

Premiera „Żeglarza" odbyła się w Krakowie w atmosferze ogólnego zaciekawienia i napięcia. Publiczność wypełniła szczelnie Małą Salę Starego Teatru. Ilość osób nie przekraczała 300, tyle miejsc mieści Mała Sala w Starym Teatrze. W zamian każdy z widzów czy słuchaczy miał pełne zrozumienie sztuki, nie zawsze uzyskującej afirmację, pobudzającej wręcz do sprzeciwów ale niezmiennie świeżej i pociągającej.

Na czym polega świeżość „Żeglarza"? Ilekroć spotkamy w życiu czy na scenie (wypadki sceniczne stają się również cząstką naszego życia, gdyż dają nam przeżycia), zagadnienia prawdy i kłamstwa, tylekroć odczuwamy, że docieramy do najistotniejszych spraw.

Prawda i kłamstwo. Można uprościć ten problem, oświadczając: prawda jest piękna, kłamstwo jest brzydkie. Ale po cóż się okłamywać, skoro tylko prawda jest piękna. Trzeba się przyznać, że kłamstwo niejednokrotnie bywa piękne a prawda niemal szpetna. Typowym tego przykładem jest causa Kapitana Nuta, alias Pawła Szmidta, centralnej postaci „Żglarza". Nie będziemy jej streszczali, bowiem kto ciekawy, niechże podąża na spektakl „Żeglarza", a kto nie może temu podołać, niech przynajmniej przeczyta tekst tej dziwnej pół komedii, pół groteski, owianej delikatnym smutkiem a zaprawnej cierpką ironią i niekiedy naświetlonej zjadliwym uśmieszkiem.

Ten mieniący się tyloma barwami nastrój sztuki zachowany został we wznowieniu „Żeglarza". Jest to zasługą kulturalnej i wnikliwej reżyserii W. Ziembińskiego. Utwór Szaniawskiego skonkretyzowany został prosto i wyraziście, bez żadnych niepotrzebnych przybudówek inscenizacyjnych. Można by tylko sprzeczać się o efekty dźwiękowe i zakończenie w trzecim akcie. Ale w tym wypadku można by mieć pretensje do dekoratora, że nie uzyskał miejsca dla odpowiedniego ugrupowania osób. Dekorator zaś odpowie, nie bez słuszności, że przestrzeń sceniczną, straszliwie niewielką wykorzystał co do ostatniego milimetra kwadratowego.

Niezapomnianym Kapitanem Nutem był, jest i będzie dla mnie Frenkel. Z tym większym uznaniem i szacunkiem odnieść się należy do kreacji Madalińskiego, będącego dziedzicznie obciążonym, jako „Żeglarz", jeśli idzie o tradycje frenklowskiej gry Madaliński pojął postać Nuta odmiennie, wydobył raczej jego ukrytą dobroduszność, miękkość, nieporadność. Koncepcja oryginalna i przynosząca zaszczyt talentowi odtwórczemu Madalińskiego.

Na niezdawkowe pochwały zasłużył Ziembiński, w roli Jana, podkreślając dobitnie zasadnicze cechy tej postaci: temperament i zadumę nad marnością sądów i osądów ludzkich. Miłą sylwetkę sympatycznej Med obdarzyła nas O. Klimczakówna. Z pozostałej, licznej obsady wyróżnili się: L. Ruszkowski (Rektor), A. Szymański (Przewodniczący), B. Loedl (Rzeźbiarz), R. Wroński (Wydawca).

Obecnie oczekujemy niecierpliwie realizacji „Dwóch Teatrów" oczywiście na Dużej Sali Starego Teatru.

Wiesław Gorecki.

Teatr w Olsztynie

Ze wszystkich imprez kulturalnych na terenie Olsztyna, cieszy się największym powodzeniem teatr im. St. Jaracza, prowadzony przez dyr. Stan. Wolickiego. Gmach teatru został postawiony około 1920 r. i uchodzi za jeden z nowocześniejszych teatrów na Ziemiach Odzyskanych przy ilości 700 miejsc dla publiczności. Pomimo sukcesów i wyjątkowo dobrej frekwencji publiczności, teatr stale boryka się z trudnościami natury finansowej. W wyniku tego część zespołu opuściła teatr, szukając sobie miejsca gdzie indziej. Z dotychczasowego zespołu, który przyjechał przeważnie z Wilna odeszli: Kurnakowicz, Młodniccy, Skarżanka, Surzyński, Karasiński, Milski, Stanisławska-Lothe i Kościałkowska. Trzeba przyznać, że jest to strata niebywała. Od listopada 1945 grano w Olsztynie przy wysokim poziomie następujące sztuki: „Moralność Pani Dulskiej" Zapolskiej, „S.O.S." Kańskiego, „Maturo" Fodora, „Marię Stuart" Słowackiego, „Gwiazdora i konamankę" Wroczyńskiego, „Drogę do źródeł" Tad. Prekt tnego, farsę Verneuilla „Moja siostra i ja" oraz Bus — Feketego sztukę pt. „Jan". Z okazji święta narodowego 3 Maja teatr olsztyński przygotował na dużym poziomie „Wesele" Wyspiańskiego oraz w czerwcu „Damę Kameliową" Dumasa jak i szereg innych.

Jak z tego pobieżnego wyliczenia widać, obok sztuk „kasowych" dyrekcja postarała się o sztuki poważne, których znaczenie jest ogromne dla podniesienia kultury teatralnej na Ziemiach Odzyskanych. Pod znakiem zapytania natomiast stoi przyszły sezon teatralny. Dyrektorem administracyjnym zostaje nadal dyr. Wolicki, kierownictwo zaś artystyczne ma podobno objąć Karol Adwentowicz z Krakowa, którego zadaniem ma być skompletowanie zespołu artystycznego. Czy jednak dojdzie do skutku skompletowanie nowych, dobrych sił — nie wiadomo. W każdym razie istnieje obawa, że wysoki poziom widowisk ubiegłego sezonu nie będzie utrzymany. Szkoda by była wielka.

(j. ant.)

Z teatru bielsko-cieszyńskiego

Scena z „Romantycznych" Rostanda w reżyserii St. Kwaskowskiego, z dekoracjami Feliksa Krassowskiego, z udziałem J. Piatkowskiego (Bergamin) i J. Zielińskiego (Pasquinot). Ambitnie pracujący teatr bielsko-cieszyński pod dyr. St. Kwaskowskiego reprezentował będzie wkrótce polską sztukę teatralną w czeskiej części Śląska. Na zasadzie umowy między Czechosłowacją a Polską wzamian za występy Divadla Tieszinskeho Slezska w Cieszynie, wystawi on „Balladynę", w doskonałej inscenizacji i reżyserii St. Kwaskowksiego, po drugiej stronie Olzy w Cieszynie Zachodnim.

Nagroda Literacka

Czytelników »Odry«

Siódma lista składek

Mgr Alojzy Kominek	*500 zł*
Es (Katowice)	*500 zł*
Prof. Tadeusz Mikulski (Wrocław)	*1.000 zł*
Wydawnictwo „Awir" (Katowice)	*5.000 zł*

Wydawnictwo „Awir" wzywa do wzięcia udziału w ufundowaniu „Nagrody Literackiej Odry":

Księgarnię „Uniwersum", Katowice ul. Warszawska 26 oraz Księgarnię M. Koepplinger, Katowice, ul. Kościuszki 14

Suma dotychczas złożonych składek wynosi 37.000 zł. Dalsze składki prosimy kierować na konto P. K. O. Katowice III-4690 z dopiskiem „Nagroda Literacka Odry".

Glossy i notatki

Rozgłośnia we Wrocławiu

W dniu 29 września otwarta została oficjalnie rozgłośnia Polskiego Radia we Wrocławiu. Powstała przynajmniej o rok za późno, ale stanowi nowe wzmocnienie pozycji tego miasta jako ośrodka pracy kulturalnej. Zmontowano ją po całkowitym wywiezieniu urządzeń z resztek przenośnej, nie-fonicznej stacji wojskowej, dając jej w praktyce około pół KW mocy i dawną falę wrocławską, która okazuje się jednak zajęta przez jakąś stację, co zakłóca odbiór. Sytuację Wrocławia w eterze ratuje częściowo fakt posiadania świetnej anteny, która poważnie przyczynia się do zwiększenia zasięgu tej stacji o potężnej i wspaniale urządzonej rozgłośni i lilipucim nadajniku. Naczelna Dyrekcja Polskiego Radia zapowiada rozbudowę Wrocławia do mocy 50 KW już w przyszłym roku. Będziemy czekali na ten termin, bo w tym stanie rzeczy stacja we Wrocławiu nie stanowi żadnej przeciwwagi dla potężnej Pragi i jeszcze silniejszego Berlina zwłaszcza przy niskim poziomie programów Polskiego Radia. Sprawą, którą specjalnie sumiennie należy rozważyć, jest program lokalny rozgłośni wrocławskiej. Dawny dyrektor rozgłośni lwowskiej J. S. Petry objął naprawdę pionierską placówkę. **(h)**

Zaczyna się . . .

Do niedawna jakoś czy to brak papieru, czy inne względy chroniły nas przed powrotem przedwojennej plagi tygodników powieściowych i literatury zeszytowej, która zawalała niegdyś wszystkie kioski gazetowe. Ale czas płynie, stosunki się normalizują, nic też dziwnego, że i na tym polu musimy powrócić do dawnych dobrych zwyczajów. Masy czekają na słowo drukowane, trzeba zdemokratyzować kulturę, uprzystępnić najszerszym warstwom zdobycze naszej literatury.

W myśl tych zapewne przesłanek powołano do życia wydawnictwo periodyczne „Co tydzień powieść". Już kilka zeszytów tego nowego wydawnictwa leży na wystawach, czerwieni się, zieleni i niebieszczeje w kioskach. Bierzemy do ręki jeden z nich. Okładka zachęca do lektury: jakaś ciemna postać strzela z rewolweru do wielkiego pająka, który spaceruje sobie po czaszkach i piszczelach. Tytułowe opowiadanie do tego rysunku aż mrozi krew w żyłach: młody egiptolog traci narzeczoną, którą powłoki ze sobą na znadanie jakiegoś grobowca, zostawił biedaczkę przy jakimś sarkofagu a sam polazł dalej i zastrzelił wielkiego pająka, a ona bardzo się bała i chciała wracać. Naturalnie od razu przestała go kochać. Ale to głupstwo wobec takiego np. opowiadania, jak „Ożenek Tommy Lacka". Oto początek: „Sprawa przybrała inny obrót, skoro między nami pojawił się Tommy Lack. Wejście jego w powszechnym tumulcie **nikt nie zauważył, ponieważ Tommy w adonsowaniu siebie nie posługiwał się bynajmniej głosem.** Po prostu **stuknął kolbą rewolweru** między oczy Bunstera, który, wypuściwszy z rąk kulawego Jacka padł na ziemię z ciężkim westchnieniem. Następnie **cnwycił za biodro czarnego Joe i podujawszy nim w powietrzu, wyrzucił okuem.**"

Ponieważ czytelnik mógłby mieć trudności z wyobrażeniem sobie, jak wygląda to bujanie za biodro, rzecz objaśniona jest odpowiednim rysunkiem. Niestety nie ma już ilustracji do takiego opisu: „Pięść Tommy spadła jak piorun na Davenporta, który zwinął się dokoła niej na kształt fachmana". Takich pięknych powiedzeń mamy sporo na każdej stronie i wszystkie równie obrazowe.

A więc zaczyna się . . . Wracamy do przedwojennych zwyczajów napychania prostego czytelnika najgorszą sensacyjną bzdurą, podawaną mu do czytania w ohydnym żargonie i potwornym stylu, przybraną we wstrętną szatę graficzną. Ale przed wojną akcję tę prowadzili wykolejeni spekulanci i komunatorzy. A dziś kto? Wydawnictwo „Literatura Polska" w Katowicach. **(h)**

Przegląd prasy

Po kilku podejmowanych po wojnie próbach stworzenia i ugruntowania pisma teatralnego wziął się do tego Państwowy Instytut Wydawniczy i od maja wystąpił z miesięcznikiem **„TEATR"**, powierzając redakcję **Janowi Nepomucenowi Millerowi.** Pismo przeznaczone jest dla ludzi interesujących się teatrem poważniej, nie ma wprawdzie ambicji w kierunku wielkiej teatrologii, ale nie jest też pismem o zakroju popularnym. Przynosi materiał interesujący i stara się wydobywać na plan pierwszy najbardziej aktualne zagadnienia teatru powojennego w Polsce. Jest pismem pożytecznym i bardzo potrzebnym wobec szybkiego rozwoju życia teatralnego w Polsce, wobec sytuacji, w jakiej teatr nasz się znajduje, i wobec roli, jaką szczególnie dzisiaj odgrywa w systemie działań, zmierzających do kulturalnego podniesienia mas. Ale czytając „Teatr", nie można opędzić się myśli o konieczności powstania pisma teatralnego właśnie dla tych mas, pisma tygodniowego w typie np. „Przekroju" a raczej „Filmu". Rzecz bardzo trudna, wymagająca licznego i rozmieszczonego po całej Polsce i naturalnie za granicą aparatu redakcyjnego, doskonałych piór, umiejętnego kierownictwa oraz dbałości o stronę graficzną periodyku. Ale chyba warta zachodu.

Ostatni zeszyt „Teatru" (4) stoi pod znakiem rozważań na temat społecznego znaczenia sztuki teatralnej. Tym sprawom poświęcone są artykuły **Wilama Horzycy („Główne zadania teatralnych kierownictw artystycznych"), Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego („Patrzymy na widownię") i H. Jabłońskiej („Cele i zadania teatru ochotniczego").** Ten ostatni artykuł, potraktowany przez redakcję jako dyskusyjny, jest o tyle ważny, że rozszerza zasięg zainteresowań pisma na zagadnienie teatrów amatorskich, dziedzinę u nas dosyć zaniedbaną, lekceważoną, a przecież mającą duże znaczenie. **W. Horzyca** pisze o społeczno-wychowawczych i artystycznych zadaniach teatru, przeciwstawiając „teatr z sercem w kasie", teatrowi o zamierzeniach artystycznych. Rozważa wpływ teatru na widza i odwrotnie, oddziaływanie widowni na scenę i teatr. Stwierdza, „że każdy prawdziwie wielki i żywy teatr był zawsze teatrem mas". Podejmując dziś hasło teatru dla mas, podejmujemy właściwie odwieczne, choć może niegłoszone hasło wszystkich wielkich teatrów przeszłości, które czuły się głęboko i nierozerwalnie związane ze społeczeństwem swych czasów i wzamian za wierność okazaną społeczeństwu, otrzymywały jego miłość i uznanie. A nie były to teatry pedagogiczne, bo „krótki bywa zazwyczaj żywot wszelkiego pedagogizmu w sztuce". Jako punkt wyjścia i cel ostateczny teatru polskiego określa Horzyca „organizowanie wyobraźni narodowej, zbiorowej, społecznej". Stwierdza, że okres międzywojenny stworzył nasz własny kształt teatralny, polski teatr monumentalny i dzieło to powinniśmy prowadzić dalej. **St. R. Dobrowolski** dzieli się w swym artykule spostrzeżeniami z widowni. Obserwacje te często bardzo trafne. Wnioski, jakie z nich wysnuwa, są już mniej przekonywująco sformułowane i pachną łatwą publicystyką. Twierdzi bowiem Dobrowolski m. in., że „Lilla Weneda" dlatego odniosła taki sukces w Warszawie, że reakcja wyszukiwała w niej hasła dla siebie i znajdywała takie jak np.: „Za trzy dni wszystkiemu kres, walka i zgon" lub „Czas wam wstać i bić i truć oręże!" Niewiadomo też dlaczego według Dobrowolskiego nieporozumieniem jest, jeśli członkowie SL na specjalnym przedstawieniu zachwycali się „feerią sceny" (pomimo niedopuszczalnych reakcyjnych wybryków Słowackiego). Ale trafnie charakteryzuje autor zmiany, jakie zaszły w składzie widowni i słusznie mówi o zaufaniu, jakie widz ma do teatru, o kredycie moralnym. Grubym natomiast i prawdziwym nieporozumieniem jest rzucone w dziwnym ujęciu teatrowi hasło: „Żadnej magii, żadnych czarów, — bez cudów". Chwilka „pomyślunku" nad socjologią sztuki teatralnej przekonałaby autora o jego pomyłce. Poniósł go temperament.

W tymże zeszycie „Teatru" znany nasz teatrolog **Mieczysław Rulikowski** rozpoczął druk pracy „Pogrzebana nauka", w której charakteryzuje straty i stan obecny teatrologii w Polsce. Po przeprowadzonej w poprzednich numerach ankiecie na temat problemów repertuarowych teatru polskiego po wojnie, redakcja wprowadziła drugą ankietę, nie mniej ciekawą i ważną. Teraz na cenzurowanym znaleźli się recenzenci teatralni a ankieta ma na celu ustalenie postulatów, jakim obecnie recenzja teatralna powinna odpowiadać. Twórczość sceniczną reprezentuje w tym numerze fragment sztuki Rogera-Ferdinanda „Szczeniaki". Komedia ta zapowiada się zupełnie dobrze i chyba cieszyłaby się popularnością u naszych widzów. Zastrzeżenia budzi w „Teatrze" nie od ostatniego numeru dział recenzyjny, tak niezwykle ważny w piśmie tego typu. Zastrzeżenia te odnoszą się do pochlebnej oceny wybitnie słabej sztuki Pepłowskiego „Droga do świtu", fatalnie w dodatku i szmirowato wystawionej, oraz do sprawozdania z Katowic, gdzie powiedziano m. in. że „Dom otwarty" jest najszczęśliwszym punktem repertuarowym sceny katowickiej". Zbyt też mało interesuje się „Teatr" zagranicą.

„KUŹNICA" w nrze 39 poświęciła sporo miejsca sprawom zachodnim. Poza artykulikiem dyskusyjnym prof. Ułaszyna na temat nazw dla naszych województw północnych (prof. Ułaszyn wypowiada się za nazwą „województwo pruskie") całą stronę poświęcono książkom Wydawnictwa Zachodniego z licznymi uwagami co do języka i stylu oraz ze specjalnym podkreśleniem znaczenia książki „Łużycom wolność!". W tym samym numerze redakcja zapowiada cykl artykułów pt. „Przyczyny klęski wrześniowej". Pierwszy artykuł z tego cyklu przynosi omówienie wojskowych przyczyn katastrofy. Mówi rzeczy znane, ale następne artykuły mogą być ciekawe a rzeczowe, poważne uświadomienie społeczeństwu źródeł klęski jest sprawą pilną. Pod warunkiem naturalnie, że wszyscy będziemy mieli dobrą wolę w kierunku wyciągnięcia konsekwencji z tych dociekań.

Tygodnik „miasta morskiego" **„SZCZECIN"** nie przynosi rewelacji, ale na swoim terenie jest potrzebny tym więcej, że ma wyraźne, praktyczne, rzeczowe nastawienie. Niewątpliwie w przyszłości pismo pod tym tytułem będzie miało bardziej reprezentacyjny charakter i szerszy zasięg. Dziś jest jeszcze „Szczecin" wynikiem dążności do doraźnego zaspokojenia potrzeb istniejących na terenie odbudowującego się i zaludniającego Polakami miasta. Mają tu swoje kolumny kupcy i rzemieślnicy, znajdziemy tu wskazówki o prowadzeniu ksiąg, wystawianiu rachunków i podatkach, obok czego artykuły o żegludze na Odrze, osadnictwie morskim, wspominki historyczne oraz mocny i rzeczowy głos o wyższe uczelnie dla Szczecina, mianowicie o politechnikę nastawioną głównie na budownictwo okrętowe i o specjalizującą się w handlu morskim szkołę typu ekonomicznego. To są postulaty godne rozważenia. Ale skąd się w takim towarzystwie wziął artykuł „Prawda o Anglii i jej demokracji"? Czy Szczecin nie czyta już nic poza swoim tygodnikiem? Czy nie dociera tam ogólnopolska prasa codzienna i periodyczna? A może tylko chodzi tu o popis miejscowego dygnitarza, który „musi" i pisze komunały, podpisując je szumnie imieniem i nazwiskiem ze śmiesznym dodatkiem „Naczelnik Wojew. Urzędu Informacji i Propagandy". Taka legitymacja wystarcza, by artykułu nie czytać. Redakcja winna też zwrócić uwagę na rubrykę „Zwróć oczy na Zachód i bądź czujny". Nie rozumiem bowiem obowiązku czujności np. wobec faktu zanotowanego w tej rubryce, że stan pogłowia świń w brytyjskiej strefie okupacyjnej ponownie poważnie wzrósł". Dajcie spokój tym świniom, tam wzrasta inne, groźniejsze pogłowie.

ki.

Co robią Niemcy

„Także KPD nie jest zadowolona z granic wschodnich Niemiec" (Reimann w Hamburgu).

„Cały naród polski winien jest wykroczeń przeciwko Niemcom i Żydom w Polsce" (Neumann z SPD).

„My Niemcy wiemy, jaka była nasza odpowiedzialność za wojnę, ale **nie jesteśmy przygotowani do tego, aby siedzieć na ławie oskarżonych jako biedni grzesznicy,** aby służyć za kozła ofiarnego w zbrodniach wszystkich innych krajów" (Lemmer, wiceprezes CDU. w toku przemówienia swego we Freitalu w sowieckiej strefie okupacyjnej).

Oto kilka fragmentów wynurzeń niemieckich, coraz śmielszych nie tylko w interpretowaniu międzynarodowych uchwał wiążących Niemcy, lecz także w bezpośrednim wysuwaniu żądań. Do tych głosów niemieckich, świadczących także i o tym, że rewizjonizm opętał wszystkie bez wyjątku partje niemieckie, dołączymy jeden głos angielski. Oto w „The Times" z dnia 7 września poradzono nam dla świętego spokoju zrezygnować z części Ziem Odzyskanych. „Zanim dojdzie do powzięcia decyzji, ostrożni i dalekowidzący Polacy zastanowić się mogą, czy nie najlepiej przysłużą się interesom swego kraju przez zrezygnowanie za ogólną zgodą z części dawnego terytorium niemieckiego, którym teraz władają, oraz czy Polska jest w stanie utrzymać bogactwo i produktywność tego znacznego obszaru ziemi rolniczej, który przejęła od Niemiec."

Jesteśmy świadkami smutnego faktu, jak to **coraz częściej współbrzmią głosy dziennikarzy angielskich i niemieckich.** Tak się ma właśnie sprawa z naszymi granicami zachodnimi. „Rada" dziennikarza angielskiego z „The Times" nikogo nie zdziwi, kto od dłuższego czasu obserwuje już wpływ, jaki Niemcy wywierają na kształtowanie się opinii politycznych Anglików. Zdawało się, że wytrawni politycy Albionu mają ustalone wytyczne polityczne w odniesieniu do Niemiec, od których niechętnie tylko będą odstępować. Zdawało się, że nieczuli będą na sentymentalne zawodzenia prasy niemieckiej, rozczulającej się nad głodnym miastem, rozmontowywanym przemysłem a nawet nad brakiem wolności słowa(!) Tymczasem **Niemcy przemycają coraz śmielej swe idee i koncepcje w mózgi angloskaskie.** Jeżeli mowa Byrnesa była dla Niemców upajającym winem, to od tego czasu Niemcy chodzą coraz częściej pijani, coraz częściej bowiem zdarza się tak znakomita libacja. Nie wiem, którzy politycy zagraniczni występują w obronie „pokrzywdzonych" Niemców z jakichś rozumowych politycznych racji, nie wiem także ilu podnosi głos z jakiejś wyimaginowanej potrzeby humanitaryzmu i współczucia, ale wiem na pewno — a utwierdziło mnie w tym przekonaniu pismo amerykańskie „Minneapolis Tribune" — że **wielu czyni to po prostu w celu znalezienia łatwego rozgłosu, w celu łatwej reklamy, a nie rzadko także i w celu ułatwienia sobie jakichś handlowych koligacji z powstającym przemysłem niemieckim.**

Taki byłby odcinek zagadnień niemiecko-anglosaskich, jak on się przedstawia w przekroju minionego tygodnia. Ostatnio zaktywizował się także **odcinek spraw austriacko-niemieckich.**

W piśmie „Neues Oesterreich" skonstatowano, że aczkolwiek Goebbels nie żyje, z Berlina płynie do Austrii podobny duch jak za jego propagandowego władztwa. Jak przez długich 12 lat również i teraz wysłuchuje Austria nauczki z Berlina, pojawiającej się tym razem w gazecie „Morgen" (liber.-demokr.). „Morgen" pisze, że w potrzebie poznaje się przyjaciół i że Austria zlamała wierność germańskim Nibelungom. „Neues Oesterreich" odpiera atak stwierdzeniem niewierności właśnie u Niemców a nie Austriaków. Przypomina przy tym stanowisko, jakie prasa berlińska zajęła w sprawie południowo-tyrolskiej, tak żywotnej dla narodu austriackiego. Po raz pierwszy — woła gazeta austriacka — zdradził nas w tej sprawie Hitler, zawierając z Mussolinim umowę tyrolską. Po raz drugi zdradza nasze interesy, **które są interesami wszystkich Niemców(!!),** demokratyczna prasa niemiecka. Gazeta berlińska na to w podrażnionym tonie wytknęła Austriakom, że **wiele zarobili na klęsce Niemiec,** wysuwając jeszcze niezasłużone i bezpodstawne żądania aneksji niektórych niemieckich ziem. Na to znowu nastąpiła odpowiedź „Neues Oesterreich", która żąda od prasy niemieckiej obiektywnego świadectwa, że Austria pierwsza padła ofiarą imperializmu Hitlera i że on razem z całym narodem niemieckim zniszczył jej gospodarkę. Według aktualnych międzynarodowo-prawnych norm, naród napadnięty niewinnie ma prawo do odszkodowania; Niemcom od roku 1933 obce jest pojęcie prawa międzynarodowego. Za czasów Goebbelsa — konkluduje „Neues Oesterreich" — prasa niemiecka głosiła wszem wobec, jaką to najpotężniejszą, najmędrszą i najdoskonalszą rasą panów są Niemcy, dziś prasa niemiecka stara się wmówić swoim czytelnikom, że są narodem najskromniejszym i najuczciwszym. Polemika między pismem austriackim a niemieckim była ostra, nieśmiało podjęły ją także potem i inne pisma, choć przeważnie zadawalały się przedrukami z dwóch głównych polemizujących gazet. Polemika ta przyczyniła się do wyjawienia wielu prawd, nieznanych światu a stanowiących o kierunku i nasileniu stosunków niemiecko-austriackich.

W każdym razie **istotnym powodem pojawiających się niechęci Austriaków do Niemców jest zazdrość tych pierwszych o szybki i łatwy rozwój życia niemieckiego na niektórych odcinkach.** Ostatnio szczególną zazdrość wzbudziła w społeczności austriackiej wiadomość o tym, że wszystkie berlińskie drukarnie zajęte są drukiem podręczników szkolnych, na skutek czego wstrzymano druk wielu innych książek, nawet o treści politycznej, a wiele periodyków w tym okresie obiecało wydawać numery podwójne. Musimy się przyznać, że i nam wiadomość ta nie bardzo się spodobała. Zatem wszystkie dzieci niemieckie otrzymują w bieżącym roku szkolnym podręczniki szkolne. „Telegraf", dziennik berliński, przynosi nawet wiadomość o uchwale rady miejskiej Frankfurtu nad Odrą i Zgorzelca, postanawiającej zakupić podręczniki dla wszystkich dzieci robotników i drobniejszych urzędników w mieście. Warto zwrócić uwagę na to, że **uchwałę tę powzięły dwa miasta pograniczne, obracające ustawicznie oczy na polskie Nadodrze.**

Część podręczników niemieckich a mianowicie uniwersyteckich drukować się także będzie w oficynach drukarskich Londynu i prawdopodobnie Kopenhagi. **Rozważana jest także już w prasie niemieckiej sprawa międzynarodowej wymiany studentów,** a niektórzy naiwni entuzjaści angielscy stwierdzili już na łamach prasy londyńskiej, że zaproszenie wielkiej ilości studentów na studia do Anglii przyniesie jedynie pożytek Europie i prawdziwej demokracji niemieckiej. Dowcipni ci panowie oświadczyli nawet, że w pierwszym rzędzie wymianą powinni być objęci studenci niemieccy, którzy jeszcze nie pozbyli się sympatii hitlerowskich, a więc zarówno ci z Erlangen jak i Heildelbergu. Tu w Anglii bowiem przepoi się ich prawdziwą demokracją.

Kiedy tak czytamy jakie to ma troski świat anglosaski w stosunku do młodzieży niemieckiej, przychodzą nam na pamięć słowa Goethego, który powiedział do Ekermanna: **„Myślę, że gdybyśmy się znaleźli w jakiejś ciężkiej sytuacji dziejowej a potrzebowalibyśmy pomocy obcych narodów, powinni bylibyśmy ją przyjąć bez wahania, bowiem najpewniejszą potęgę zbudować można z wysiłku obcego przy jak największym poszanowaniu sił własnych."** Owszem, Goethego przypomina się w Niemczech, i przypomina się go Anglosasom od jego wielkiej człowieczej strony. Tego rodzaju zdań jednak lepiej w Niemczech nie przypominać, nie uwierzą w nie, tak jak się to zdarzyło pewnemu publicyście francuskiemu, który przypomniał Niemcom kilka niezbyt dla nich w dzisiejszej sytuacji przyjemnych zdań z Schillera, a za co prasa niemiecka okrzyczała go prowokatorem i fałszerzem. W ogóle znamienną jest rzeczą, że zwycięski renesans klasyków niemieckich nie objął Fryderyka Schillera. Zapomina się o nim w pismach literackich, z wykazów ogłoszonych lub przygotowywanych tematów z historii literatury niemieckiej wynika także, że nikt nad Schillerem nie pracuje, podczas gdy bibliografia o Goethem rośnie z dnia na dzień z zawrotną szybkością. **Trzeba się zastanowić nad tym, dlaczego to Niemcy tak chłodno odwracają się od Schillera . . .**

wisz.

Współczesny drzeworyt niemiecki

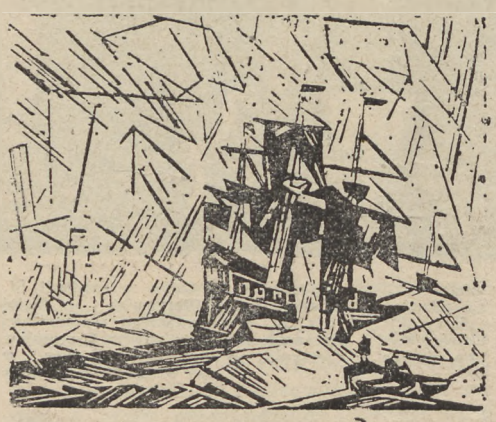

Z lewej od góry: „Okręty", drzeworyt znanego kubisty niemieckiego Lyonela Felningera, który od roku 1933 przebywa na emigracji w Nowym Jorku. Sztuka jego cieszy się w powojennych Niemczech ogromnym powodzeniem. — „Robotnicy w porcie w Wismar", drzeworyt Selli Hasse. — „Między strzeleckimi rowami", drzeworyt Franza Maseree, który krytyka niemiecka uważa za pierwszą jaskółkę pacyfistycznych tendencyj w powojennej sztuce niemieckiej.

Patrzymy na ekran

Jak i w poprzednim tygodniu, tak i w bieżącym, repertuar kinoteatrów katowickich opiera się zasadniczo na wznowieniach. „Gunga Din" (kino „Zorza"), „Jaśnie pan szofer" (w „Światowidzie") oraz „Skarb rodziny Goupi" (w kinie „Union"), to główne pozycje naszych ekranów. Dobrze zresztą się stało że „Skarb rodziny Goupi" powrócił do Katowic. Będą go zatem mieli okazję zobaczyć ci wszyscy, którzy nie zdążyli tego uczynić za pierwszym razem, gdy doskonały ten obraz wyświetlano zaledwie 5 dni. Jak wieść niesie powróci również (oby w nieuszkodzonym stanie) „Królewna Śnieżka". Czekamy i na nią i to z wielką niecierpliwością.

Z pozostałych filmów wymienić należy przedewszystkim obraz produkcji francuskiej, pt.: „Niebo jest dla was". Ciekawy jest montaż tego nie banalnego filmu. Pierwsza część, przedstawiająca nie ciekawe życie zwyczajnego mechanika i jego rodziny — jest konwencjonalną fotografią, nużącą i w miarę mętną. Widz się nudzi, widz krytykuje. I oto z szarzyzny ekranu i życia zaczyna wyrastać p r o b l e m. Mechanik wyrasta w naszych oczach na skrzydlatego bohatera, jego — jakżeż dotychczas banalna — połowica, staje się żoną latającego człowieka. I ją i nas porywa urok wirującego śmigła a zmysły łakomie smakują niebo i przestrzeń. W naszych oczach wysubtelnia się zagadnienie — zaczynamy r o z u m i e ć. Zaczynamy kochać. I zazdrościmy kobiecie, gdy samotna na niewyekwipowanym samolocie — odlatuje w niebo. Przeżywamy proste, ludzkie wzruszenie. A film zapowiadał się tak nieciekawie. To właśnie nazywa się w języku artystycznym: „cienka robota"...

Alba.

„ODRA"
powinna znaleźć się
w każdym polskim domu

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: **Wilhelm Szewczyk.** Adres redakcji: Katowice, 3 Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3 Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik," ul. 3 Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Wydawca: Sp. Wydawnicza „Czytel-
R 22304